

## 2

### Gross-Rosen

12 kwietnia 1942 r. pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce. Wczesna godzina ranna, szary świt nie pozwolił zorientować się, gdzie jesteśmy. Na to, żeby dowiedzieć się, gdzie jest nasze przeznaczenie, długośmy nie czekali.

Po zatrzymaniu pociągu zostały otwarte drzwi naszego wagonu, a na peronie zobaczyliśmy übermenschów z trupimi czaszkami, z pistoletami maszynowymi i psami. Rozdzierający krzyk: „Alle raus” uświadomił nam zdecydowanie, że w tej grze od tej chwili naszą stawką jest życie. I od tego jak potrafimy wywieść w pole każdego draba w mundurze, by uniknąć katorżania, względnie kalectwa, zależy los każdego z nas i wszystkich razem.

Krzyki, bicie, szczucie psami, zgiełk okropny wprowadzał zamęt w naszych umysłach, zdawało się, że znaleźliśmy się w piekle. Wreszcie po kilkunastu minutach zostaliśmy uszeregowani w piątki, przeliczeni i przekazani przez konwój oprawcom z obozu. Kilku było już poturbowanych, najgorzej profesor Bednarek, ponieważ nie mógł szybko zeskoczyć z wagonu. Wielu z nas było chorych. Po kilkumiesięcznym pobycie w celi, a potem przez dwie doby w zaduchu i ścisku w wagonie, górskie powietrze wiosenne podziałało zabójczo. Wielu starszych nie mogło złapać tchu. Wrzask zdobywców świata, bo za takich się uważali, te pomioty ludzkie spod znaku SS, to wszystko podziałało deprymująco.

Umęczone ofiary ustawione w kolumnę skierowano do wymarszu. Zdążyłem przeczytać napis z nazwą stacji – Gross-Rosen. Ktoś szybko przetłumaczył – Wielkie Róże. To coś nowego. O takim obozie nie słyszeliśmy. Gdzieśmy się dostali? „Troskliwość” z jaką nas otoczyło kilkunastu drabów z bronią maszynową i psami nie wróżyła nic dobrego.

Szybko przekonaliśmy się o tym; kiedy w ostatnich szeregach, na skutek szybkiego marszu, niektórzy więźniowie nie mogli nadążyć, zaczęto okładać ich kolbami i szczuć psami. We dwóch pomagaliśmy więc któremuś z kolegów. Dziś już nie pamiętam, kogo prowadziliśmy pod rękę. Koledzy ci, sterani w więzieniu, nie mogli nadążyć o własnych siłach, pozostawienie ich własnemu losowi, równałoby się uśmierceniu.

Oprawcy konwojujący nas niechybnie zastrzeliliby ich, a my musielibyśmy nieść trupy, bo stan transportu musiał się zgadzać i być dostarczony do obozu w całości. Żywi czy umarli,

to już obojętne. Droga prowadziła przez miasto obok kościoła, a za miasteczkiem zaczęła się piąć pod górę, w dali widać było zarysy kamieniołomów.

Po wyjściu na górę zobaczyliśmy obóz koncentracyjny. Poznać go można było po ogrodzeniu drutem kolczastym, charakterystycznych wieżach co kilkadziesiąt metrów, no i teren obozu był oświetlony. Doszliśmy przed bramę wejściową, nasze przybycie było oczekiwane, ponieważ za bramą widać szereg postaci w mundurach feldgrau.

Na bramie wita nas napis „Arbeit macht frei”. W czasie przekraczania bramy obozowej zostaliśmy jeszcze raz przeliczeni i brama ta została za nami zawarta, dla jednych na zawsze, dla drugich na kilka lat. Co za tą bramą mieliśmy przeżyć, nie potrafił sobie nikt wyobrazić. A gdyby mógł to sobie ktoś uzmysłwić, zrezygnowałby z życia.

Dotychczas nikt nie potrafi opisać okropności, jakie zgotował faszyzm niemiecki w obozach koncentracyjnych. Żadne pióro nie jest w stanie oddać przeżyć człowieka, który z głodu i upodlenia kończył żywot. Niemiecka skrupulatność i organizacja przygotowała dla podbitych narodów jedną z największych katuszy, przy których bledną opisy Karola Maya jak postępowali Indianie ze schwytanymi wrogami.

### **Jesteśmy w obozie**

Na stoku góry, od strony północno-wschodniej, niedaleko od drogi do Striegau [obecnie: Strzegom] usytuowany był obóz koncentracyjny w budowie. Wybudowanych było w tym czasie w obozie 7 bloków mniejszych i 3 baraki większe 60-metrowe oraz 6 baraków dla obsługi obozu. Razem 16 baraków kaskadowo zbudowanych na stoku góry. Ponieważ obóz ten był dopiero w rozbudowie, nie było więc jeszcze ani urządzeń sanitarnych, ani doprowadzonej wody.

Drogi były dopiero zaprojektowane, był to więc olbrzymi plac budowy. Wszędzie rozkopane. Przyjęto nas w tak zwanym obozie małym i wyprowadzono do obozu jeńców radzieckich w bloku 6, który w tym czasie był niezamieszany. Jeńcy radzieccy, których we wrześniu 1941 r., w liczbie około 2700 osób, umieszczono w trzech barakach 60-metrowych, obecnie ulokowani byli w jednym baraku, ponieważ było już ich tylko około 600.

W późniejszym okresie i ten barak został zamieniony na zakłady Siemens, a jeńcy, którzy pozostali przy życiu, zostali rozdzieleni na bloki więźniów. Do końca trwania obozu z 2700 pozostało przy życiu 19 jeńców wojennych. Jeńcy ci nosili mundury radzieckie z napisem S.U. i nie mieli oznaczenia Schutzheftlingów.

Barak, w którym nas umieszczono, był pusty; od razu poinformowano nas, że przyjechaliśmy do obozu koncentracyjnego, w którym będziemy przebywać do końca wojny, a celem naszego pobytu jest nauka pracy. Kto będzie dobrze pracował, ma szansę wyjścia na wolność, a kto nie będzie się starał dobrze pracować, to wyjdzie przez komin krematoryjny. Każdy z nas otrzyma numer, którym odtąd będzie się posługiwał zamiast nazwiska. Numer ten należy pielęgnować, utrzymywać w czystości, w przeciwnym wypadku kara. Następnie przybyli funkcyjni więźniowie w pasiakach, celem przystosowania nas do społeczności obozowej. A więc spisanie personaliów, następnie oddanie wszystkich rzeczy, jakie kto miał. Wolno było tylko zatrzymać chusteczkę do nosa i pasek do spodni. Pozostała odzież i obuwie pakowano do worka, na którym wypisywano ten sam numer, jaki otrzymał więzień, i to było przekazywane na przechowanie do czasu zwolnienia więźnia. Rzeczy wartościowe zabierane były do depozytu. Następnie szło się do fryzjera, który maszynką i tępą brzytwą golił niemiłosiernie całe owłosienie.

W środkowej części baraku umieszczony był duży kocioł metalowy z wodą zaprawioną lizolem. W tym kotle – po kilku naraz, pod nadzorem Lagerältestera Schalego – każdy musiał zanurzyć się z głową. Nie obeszło się przy tym bez bicia. Blockführerzy Barth i Klitsch urządzili sobie zabawę. Stylami od łopaty przygniatali nam głowy pod wodą, a kto wystawiał głowę, to go bili. Po tej kąpieli każdy dostał bieliznę i ubranie – pasiak oraz obuwie drewniane tzw. holendry. Dotychczas w stosunkach panujących w obozie nie mieliśmy rozeznania, mimo że w sąsiednim bloku nr 8 byli koledzy z poprzedniego transportu z Tarnowa, to jednak „opiekunowie” nasi nie dopuścili do nas nikogo. Dopiero wieczorem odnaleźliśmy znajomych – Adama Dzierwę, Gienka Kuziorę, a z Kolbuszowej Jana Dymitrowskiego.

Przez następne dni przechodziliśmy adaptację i szkolenie, a więc uczono nas nakładać czapki i zdejmować, meldować się po niemiecku, objaśniano co wolno więźniowi, a czego nie wolno. Zasadniczo to wolno było tylko umrzeć, a poza tym nic więcej. Szkolenie prowadzili Blockführerzy Schatz, Barth i Klitsch oraz Lagerältester Schali. Ażeby szkolenie nie było nudne stosowano „gimnastykę” i wykład prowadzono w pozycji przysiad z rękami uniesionymi do góry. Kto usiłował z tej pozycji wypaść przywrócono go do tej pozycji pałką. Dla urozmaicenia stosowano i inną „gimnastykę”: padnij, powstań, skoki w przysiadzie aż do całkowitej utraty sił. Ci, którzy nie mogli tego robić, wychodzili jeszcze gorzej, bo byli bici gdzie popadło. Mimo wewnętrznego buntu trzeba to było znosić bez sprzeciwu. Jakikolwiek odruch protestu był bezcelowy. Nie pomógłby poszkodowanym, a zaszkodził pozostałym.

Może nasunąć się myśl, jak mogło czterech drabów, chociaż nawet uzbrojonych, tyrani-  
zować 54 ludzi, bezkarnie? Przecież można było rzucić się na nich i rozbroić. To prawda,  
w jednym wypadku było to i może możliwe, ale skutki, jakie by to pociągnęło za sobą, nie  
równoważyłyby chwilowego sukcesu, a na przyszłość nic by się nie zmieniło.

Działał tu na pewno i instynkt samozachowawczy, by wbrew logice nie działać. Wypy-  
tywali każdego za co został aresztowany i co w Polsce robił, jakie ma wykształcenie. Kiedy  
prof. Eile z Jarosławia powiedział, że ukończył studia wyższe na czterech wydziałach Uniwer-  
sytetu Jagiellońskiego wyciągnęli go z szeregów oraz drugiego bardzo mizernego chłopca  
z Huty Komorowskiej k. Majdanu i kazali im śpiewać i tańczyć. Widok był groteskowy  
i groźny. Prof. Eile mężczyzna korpulentny, natomiast ten chłopca ledwie postać człowieka,  
objęci krążą i usiłują śpiewać, a my wszyscy w przysiadzie z rękami w górze, kto się poruszy  
spadają na jego głowę razy. Tak rozpoczęto łamanie godności człowieka od pierwszego dnia.

Profesor Eile szczególnie utkwił w mojej pamięci, ponieważ przebywałem z nim przez  
pewien czas w jednej celi w więzieniu w Tarnowie. Była to postać wyróżniająca się w tym  
środowisku, posiadał bardzo olbrzymią wiedzę naukową. Potrafił godzinami zabawiać współ-  
towarzyszy rozmową na różne tematy, odrywając ich od gnębiących myśli, dotyczących losu  
swoich najbliższych, jak też i swojego własnego. W okresie panującego głodu w więzieniu,  
w jakiś sposób, w godzinach nocnych, otrzymał paczkę żywnościową podaną przez uczynne-  
go strażnika, paczkę tę podzielił w całości pośród wszystkich przebywających w celi, a było  
nas około piętnastu. W sprawach życiowych był jednak bardzo bezradny, jak dziecko, zamy-  
ślony chodził po celi, robił wrażenie bardzo roztargnionego. Zapalał się tylko, gdy zaczynał  
rozwiijać jakiś temat. Był to wielki humanista. Został też pierwszą ofiarą z naszego transportu.  
Już od pierwszych momentów, kiedy oprawcy dowiedzieli się, że ma ukończone cztery wy-  
działy UJ, zaczęli łamać jego godność ludzką. Przydzielono go do pracy w komandzie Stein-  
bruch, do noszenia kamieni. Dla większego upokorzenia przypięto mu, oprócz numeru więź-  
nia politycznego, gwiazdę syjonistyczną. Profesor Eile był krótkowidzem i nosił okulary, oku-  
lary te już w pierwszych dniach zostały rozbite przy biciu po twarzy i poruszanie się  
w terenie sprawiało mu wielką trudność.

W drugim dniu pracy w kamieniołomach został zmuszony przez Blockführera do pójścia  
na postenkietę i został zastrzelony. Była to pierwsza śmierć wśród 54 osób przywiezionych  
z Tarnowa i dlatego szczególnie zapamiętana, tym bardziej, że profesor Eile był dobrze zbu-  
dowany i nie narzekał na żadną chorobę, a tak szybko zginął.

Szkolenie i „gimnastykę” przeprowadzano przez trzy dni. Po trzech dniach, jako jeszcze oddzielną kolumnę, zabrano nas do prac porządkowych na terenie obozu. W tym czasie obóz otrzymał łóżka piętrowe do spania, użyto nas więc do dostarczenia tych łóżek na wszystkie bloki. Dotychczas wszyscy spali na siennikach rozłożonych na noc na podłodze. Na dzień natomiast były składane jedne na drugich w sterty i przykryte kocami. Łóżka otrzymały bloki w małym obozie. Bloki 8 i 6 łóżek jeszcze nie dostały, bo nie starczyło.

Nosiliśmy również kamienie na budowę fundamentów. Po drodze uczono nas maszerować i śpiewać. Kamienie były ciężkie, specjalnie dobierane przez Blockführerów, żeby nie próbował ktoś oszukiwać. Noszenie tych kamieni było strasznie utrudnione z uwagi na nierówny teren i szybki marsz, a dodatkowo strach przed biciem powodował, że każdy wyętał wszystkie siły byle donieść. Po tygodniu takiej kwarantanny zostaliśmy przeniesieni do bloku nr 8. Blokowy Karl Kirchmann, bokser wagi ciężkiej z zielonym winklem, z przetrąconym nosem o wyglądzie zbója, wygłosił do nas mowę. Zaznaczył, że u niego nikomu, kto przestrzegał będzie wszystkich zarządzeń przez niego wydanych, nie stanie się krzywda, bo jest sprawiedliwy, ale kto spróbuje nie podporządkować się ściśle lub będzie usiłował wyprowadzić go w pole, to raczej niech się pożegna z tym światem. Oświadczył, że jedno jego uderzenie powoduje śmierć, więc lepiej, żeby nie spotkać się z jego rękami. Wymagał czystości, porządku, zdyscyplinowania i przestrzegał przed jakąkolwiek kradzieżą. Następnie zostaliśmy poinformowani do jakiej pracy będziemy przydzieleni i do jakiej kolumny mamy na następny dzień zgłosić się po porannym apelu. Większość z naszego transportu została przydzielona do kamieniołomów.

Ja dostałem przydział do Bauleitungu, do komanda cieśli. Więźniów pracujących w kamieniołomach można było poznać po tym, że numery mieli malowane czarną farbą na białym tle, a więźniowie Bauleitungu mieli numery malowane czerwoną farbą na białym tle.

Blokowy Karl Kirchmann powiedział w przemówieniu dużo prawdy. Na przykład odnośnie dzielenia żywności przestrzegał sprawiedliwego podziału. Kilka razy sztabowy za niewłaściwe wydawanie posiłków został przez niego pobity. Prawdę powiedział też i o zabijaniu, za najmniejsze przewinienie zabijał bez pardonu. Został za to wyróżniony i wkrótce został Lagerältesterem.

Wprowadzono nas do bloku, celem znalezienia sobie miejsca na nocleg. W bloku tym łóżek jeszcze nie było, spali wszyscy na siennikach rozłożonych na podłodze. Ponieważ transport w liczbie 54 ludzi zwiększył liczbę do około 250 osób, do spania należało ułożyć się ciasno jeden obok drugiego.

Najgorzej było w nocy, bo jeżeli zaszła potrzeba wyjść na pole, to trzeba było po ciemku stawać na drugich, gdzie popadło, no i na swoje miejsce nie można było już wrócić, bo było zajęte. Deptani robili wrzask i złorzeczyli, tak że całe noce były jednym koszmarem. W niedługim czasie otrzymaliśmy łóżka trzypiętrowe, więc sytuacja uległa pewnej poprawie.

Byłem więc w obozie tak jakby już ustabilizowany, mam przydział pracy, no i zapewnioną kwaterę.

### **Komando Zimmermann**

Kiedy w obozie spisywano nasze zawody, cóż miałem podać, że nie posiadam żadnego zawodu, że usiłowałem czepiać się przed wojną różnej pracy, ale jej nie było, że jestem robotnikiem bez żadnego zawodu. Wiedziałem jaka praca czeka tych, co nie mają zawodu – kilof i łopata. Ten zawód nie wymaga specjalnych kwalifikacji, ale i ta praca jest najcięższa. W wojsku służyłem w plutonie pionierów, a więc pewne wiadomości z dziedziny budownictwa i władania siekierą miałem. Podałem więc, że z zawodu jestem cieślą i stolarzem, przecież świadectwa w tej chwili nie będą sprawdzać, a obóz budowany z elementów gotowych, więc z wbijaniem gwoździ chyba sobie poradzę.

Na zapytanie, czy wyuczony, odpowiadam bezczelnie – tak. Ile lat nauki, odpowiadam – cztery. No i zostałem fachowcem rzemieślnikiem w dwóch zawodach cieśla-stolarz. W tym czasie Niemcom fachowców brakowało, bo przeważnie początkowo do obozu trafiała inteligencja, a nie rzemieślnicy, więc fachowcy byli pożądani i to we wszystkich zawodach. Staszek Jedynacki, z zawodu urzędnik, ale że ojciec był kowalem, to i on się przekwalifikował i poszedł do pracy w kuźni w kamieniołomach.

I tak trafiłem do komanda Zimmermann, a było to komando uprzywilejowane. Przecież obóz w budowie, buduje się baraki dla więźniów, jak też i całe osiedle z zapleczem gospodarczym dla załogi SS.

Do uprzywilejowanych komand należało przede wszystkim Baubüro, no bo plany, rysunki, pomiary, jako drugie komando murarzy, bo trzeba murować, no i nasze komando cieśli i stolarzy.

Tymi komandami interesował się sam Lagerführer Anton Thumann. Uprzywilejowanie to polegało na tym, że musieliśmy więcej pracować niż pozostałe komanda. W dzień praca poza obozem – budowa baraków dla SS, a w nocy, przy świetle, budowa baraków dla więźniów. Komando cieśli to niewielka grupa ludzi, około 28, przeważnie sami Polacy, czterech Niemców: kapo Żorż Georg Lange, Vorarbeiter Wof, Kuno von Aügen i jeszcze jeden Niemiec

polityczny oraz jeden Czech Franciszek Dworzak, najstarszy wiekiem w całym komandzie. Prawie wszyscy to pionierzy obozowi, widać to po numerach na pasiakach: Kulig nr 205, Sowa – 305, Staszek Kołodziejczyk, Antek Kapuściński robotnik z Tomaszowa, Wojciech Szymański z Pleszewa, Henryk Ogłuszko, Jerzy Luda z Bytomia, Edward Jarosiński, Włoszczyna\*, to numery rozpoczynające czwartą setkę w obozie. Następnie Mundek Gabriel, Czesław Marszałkiewicz ze Swarzędza nr 748, Jan Mazanek numer około 1766, pozostałych już nie pamiętam; ja dołączyłem z numerem 2342, bez żadnego doświadczenia obozowego z całą ufnością zwierzyłem kolegom fachowcom z mojego komanda, prosząc o udzielenie pomocy. Jak się okazało, w naszym komandzie więcej było takich fachowców jak ja, a tylko kilku miało pojęcie o stolarce czy budowie.

Część naszego komanda poszła pracować poza obóz, gdzie budowali baraki dla SS, ja z resztą grupy zostałem w obozie i rozpoczęliśmy budowę pierwszego szpitala obozowego. Budowa ta była prowadzona pod nadzorem majstra cywilnego, tempo pracy było szalone. Barak ten był budowany bez fundamentów, na słupkach betonowych i kołkach wyrównujących poziom. Materiały należało przynosić z daleka, była to najcięższa praca. Ponieważ praca odbywała się na otwartym terenie, nie można było ani chwili odpocząć. Szybką budową władze obozowe były bardzo zainteresowane, ponieważ napływały transporty, a nie mieli ich gdzie lokować. Stąd też stale nadzorowali budowę, ze strony Bauleitungu Rottenführer Schmidt, Blockfeueramt, no i majster cywilny.

Często odwiedzał budowę sam Anton Thumann ze swoim wilczurem. Mimo że praca była wyczerpująca na skutek olbrzymiego tempa, to jednak była o wiele lepsza niż w innych komandach, dlatego że kapo Żorż Lange, przestępca kryminalny z zielonym winklem, nie był szkodliwy i należy go ocenić jako jednego z uczciwych kapo. Ten człowiek nie miał na sumieniu ani jednego morderstwa.

Bicie innych nie sprawiało mu przyjemności, po prostu nie chciał i nie umiał bić. Nawet wtedy kiedy musiał bić, bo były i takie sytuacje, to po jego biciu ofiara odchodziła nie poszkodowana. Nadrabiał za to krzykiem. Krzyczał niesamowicie, czy była potrzeba czy nie, ale już z daleka swoim krzykiem dawał znać o sobie. Przez ten krzyk nazwaliśmy go wariatem. On się dowiedział, że tak go nazywamy po polsku, pytał raz co to znaczy po niemiecku, odpowiedziano mu, że dobry człowiek i to go zadowoliło, krzyczał jeszcze bardziej. Po wybudowaniu Rewiru nr 1 budowaliśmy Rewir nr 2, następnie został rozszerzony obóz, do małego obozu

---

\* Najpewniej chodzi o cieślę Władysława Woszczynę, nr 341 [przyp. red.].

został dołączony obóz jeńców radzieckich i nastąpiła szybka rozbudowa całego obozu, jak też i baraków SS.

W tym czasie z Oświęcimia przybył transport 600 ludzi, celem zasilenia poszczególnych komand fachowcami. Część tego transportu została skierowana do pracy w kamieniołomach do obróbki kamienia jako Steinmetze. Do nauki tego zawodu sprowadzono kilku więźniów z Mauthausen. Część mniejszą włączono do Bauleitungen, do komand zawodowych. W naszym komando panowało mordercze tempo pracy, brak snu, ponieważ prawie codziennie pracowaliśmy po apelu i kolacji do 23 w nocy, a o godz. 5 rano już była pobudka.

Z domem jeszcze nie została nawiązana łączność, nie miałem żadnych pieniędzy na koncie, żeby można było coś kupić. Dzielne wyżywienie, któreśmy otrzymywali, to było na śniadanie ½ litra zupy z mąki drzewnej, zwanej avo, albo ½ litra czarnej kawy – to były ranne posiłki, na zmianę. Jedynie w niedzielę otrzymywało się ½ litra zupy mlecznej z kaszą manną lub makaronem. Zależało od tego jakie produkty przeterminowane mieli w magazynie S. Na obiad, w okresie od wiosny do późnej jesieni, był 1 litr zupy ze szpinaku lub liści buraczanych czy jarmużu, czasem na dodatek do tego 3 do 4 kartofli w mundurkach. Natomiast w okresie zimowym zupa z brukwi, której na zimę magazynowano w kopcach duże ilości.

Zasadniczym posiłkiem była kolacja składająca się z 300 gramów chleba, pieczonego z dodatkiem mąki drzewnej, oraz dodatek margaryny – kostka półkilogramowa na 20 osób – i marmolady z buraków, lub 4-5 dkg kiełbasy końskiej lub łyżka syropu buraczanego i pół litra kawy, lub co drugi dzień zupy avo. Wyżywienie to w żadnym wypadku nie mogło wystarczyć na utrzymanie organizmu nawet bez pracy, a co dopiero przy takiej eksploatacji sił i energii.

Następował więc stały, systematyczny ubytek sił. Człowiek zgłodniały żył zasobami organizmu aż do kompletnego wyczerpania. Tracił mięśnie, pozostawały same kości obleczone skórą, tracił siły, pamięć, zaznaczał się brak reakcji, całkowite zubożenie na wszystko, głód wiercił mu mózg, o niczym nie mógł człowiek myśleć, jedyny wysiłek myśli był skierowany na to, jak zaspokoić, obojętnie czym, tę ssącą bestię – głód.

Czytelniku, czy byłeś kiedyś głodny? Jak długo? Dzień, dwa, tydzień? Wyobraź sobie głód postępujący, codziennie większy, i to ciągnący się całymi tygodniami, a nawet miesiącami. Żadnej przed tobą perspektywy, że to się skończy, że ty w końcu zaspokoisz ten głód. Umierać z głodu i pracować to była najpotworniejsza rzecz jaką człowiek wymyślił.

Broń nuklearna jest humanitarniejszym środkiem zagłady, ponieważ razi i skutecznie masowo momentalnie zabija. Niemcy zabijali masowo głodem, z tym, że to zabijanie było roz-



ciągnięte na tygodnie i miesiące powolnego przytomnego konania. W tej sytuacji po kilku miesiącach i ja doszedłem do stanu krytycznego, byłem tak osłabiony, że na wieczornym apelu nie mogłem już ustać o własnych siłach.

Pomoc Józefa Biesiadeckiego i Jana Dymitrowskiego, którzy załatwili mi przyjęcie na rewir, polepszyła moją sytuację. Na rewirze chociaż pospać miałem możliwość. Byłem na I rewirze, który był reprezentacyjny, tam były łóżka przykryte prześcieradłami, tam nawet każdy chory miał kartę zabiegową. Lekarstw nie było, ale mnie wystarczyło, że mogłem spać, przynajmniej 16 godzin na dobę.

Po tygodniu zostałem wypisany ze szpitala i skierowany do pracy do innego komanda. Pracowałem w komandzie niwelującym teren. Kapo Eryk Lipiński. Nie kierował mnie do kilofa ani łopaty czy wózka, ale pracowałem jako konserwator torów kolejki. Praca nadzwyczaj uciążliwa, ponieważ stale na oczach kapo i esesmanów trzeba było cały dzień coś robić. Obojętnie, czy słońce doskwierało w wygoloną głowę czy też padał deszcz.

W pracy tej byłbym się wykończył na pewno, ponieważ, jeżeli nie zostałem ubity przez kapo czy przez któregoś z Vorarbeiterów, to na skutek głodu i ciężkich warunków atmosferycznych musiałbym zginąć. Komanda niwelacyjne były dwa. Pierwszym kierował kapo Newald, a drugim Hary Lipiński. Te dwa komanda pożarły prawie połowę więźniów Gross-Rosen. Newald, wraz ze swoimi pomocnikami, mordował miesięcznie do 500 ludzi. Lipiński trochę mniej. Były to komanda śmierci.

Jak zazaczyłem, obóz był usytuowany na stoku góry i zadaniem tych kolumn pracy było wyrównywać teren. Pod cienką warstwą ziemi było podłoże kamienne, należało więc przemieścić ten kamień w taki sposób, aby wyrównać teren. Komando to uzbrojone w świdry pneumatyczne, kilofy, łopaty łupało cały dzień kamień, ładowało na wózki i wywoziło. Tak opisane to zagadnienie jest jednak zbyt uproszczone. Proszę sobie wyobrazić grupę ludzi wynędzniałych, którzy wśród piekielnego zgiełku świdrów pneumatycznych, kilofami, których niejednokrotnie nie mogą unieść w górę, łupią skałę, ładują rękami na wózki, a inni te wózki odtransportowują.

Większość tych ludzi nie miała nigdy w życiu takich narzędzi pracy w rękach, nie umiała się nimi posługiwać, praca więc szła nieskładnie. Szaleje więc kapo, szaleją Vorarbeiterzy, no i esmani też włączają się do akcji. Spadają na głowy, ręce, plecy, gdzie popadnie uderzenia styła od kilofa czy łopaty, padają pobici.

Ten zgiełk, zamieszanie powodowało, że mnożyły się wypadki rozbicia kilofem głowy czy innej części ciała. Wózki się wykolejały, przywalając tych co je pchali. Powodowało to dal-

sze bicie, posądzanie o złą wolę i sabotaż, i tak w koło bez końca. Zabitych i rannych układano w szeregu obok miejsca pracy. I obojętnie czy skwar z nieba leci, deszcz czy mróz oni tak muszą leżeć, aż komando będzie wracać z pracy na obiad czy na noc, to ich zabierze.

Jeżeli nie zdążyli skonać jeszcze, to może w drodze, jak ich będą nieśli, skonają lub już na miejscu w obozie. Stan jednak musi się zgadzać. Przy kopaniu na posadowienie kuchni SS oraz domu kultury zginęły setki więźniów. Widziałem poukładanych, leżących wiankiem wokół wykopu, porozbijani, pokrwawieni, słońce paliło ich ciała, muchy obsiadały rany i oczy, a oni niezdolni byli bronić się przed muchami, mimo że jeszcze żyli.

Obok przebiegała praca wśród zgiełku, jaki można porównać tylko z wyobrażeniem piekła. Tak kapo, jak też i Vorarbeiterzy byli to ludzie silni, wyżarci, ponieważ mimo panującego głodu oni głodu nie mieli. Władze obozowe z końcem 1942 r. wprowadziły drugie śniadanie na miejscu pracy. Było to około 10 dkg chleba posmarowanego margaryną oraz 2-3 dkg kiełbasy końskiej. Śniadania były wydawane według stanu jaki wymaszerował do pracy. Toteż kapo musiał do śniadania zabić kilku ludzi, żeby mógł zabrać ich śniadania. Robili to nagminnie kapo Lipiński, Newald, Wili Rosa, Maks Weis zwany cyklopem i wielu innych. Widok tych cierpień i tego okrucieństwa zaczynał mnie załamywać moralnie.

Fizycznie jeszcze nie byłem załamany, ponieważ otrzymywałem pomoc od Biesiadeckiego, który mając lekką pracę jako fryzjer w komando Lehrlingsheim w kamieniołomach, jeszcze zarabiał w obozie goląc Lagerältestera i obozowych kapów. Pomagał mi żywnością jak mógł. Jednak wiedziałem, że w tej pracy dłużej nie wytrzymam. Znowu Biesiadecki rozmawiał z kapo Żorzem od Zimmerleute i ten wziął mnie z powrotem do swego komanda.

Zostałem również przeniesiony z bloku 8 na blok 5, skąd zostali wysłani w transport do Lublina wszyscy więźniowie narodowości żydowskiej. W bloku 5 zostali skoncentrowani w większości wszyscy cieśle, stolarze, pracownicy Baubüro i elektrycy. Dostałem się do srodowiskowej sali, gdzie była większość naszego komanda. Razem w sali było nas około 30 ludzi. Z tych, których pamiętam byli to wszyscy pionierzy obozu, wszyscy mieli numery począwszy od 200 do 750. Ja z numerem 2342 i przybyły ze mną z transportu oświęcimskiego Franciszek Fedorowski – Henryk Gabryś nr 2626. Sztubowym na tej sali był Acie, którego w gruncie rzeczy nic nie obchodziło, poza tym, by była idealna czystość i równo zasłane łóżka.

Przejsie z bloku nr 8 na ten blok było dla mnie jakąś szansą na przeżycie. Sytuacja tu była zupełnie inna niż na bloku nr 8, gdzie w tym czasie blokowym był Weks Osi. Karl Kirchmann awansował na Lagerältestera i przekazał blok Osiemu. Był to również przestępca nie-

miecki z zielonym winklem, który często popadał w szal i bił wtedy każdego, kto się nawinął pod rękę.

Bił czym popadło – stołkami, pałką czy nahajem. Na jego bloku byli sami Polacy, których serdecznie nienawidził. Za to, że po pracy kilku nie myło się w korycie z brudną wodą, w której mył się cały blok, zabił stylem od kilofa trzech ludzi. Na tym bloku był cały nasz transport i bardzo wielu zginęło z jego ręki.

Tam też wykończył się Staszek Jedynacki, któremu pomagał Janek Dymitrowski z Kolbuszowej. Staszek miał zasadniczo niezłą pracę, bo w kuźni. Dymitrowski, który był sekretarzem na bloku 8, oddawał zawsze miskę zupy Jedynackiemu, ale z drugiej strony gnębił go moralnie. W ten sposób udzielana pomoc przyczyniła się do szybkiego załamania i do śmierci.

Kiedy byłem na bloku 8, pewnej nocy w zimie była kąpiel dla kilku bloków. Zerwano nas z łóżek i każdy nagi musiał iść na 6 blok, gdzie w dużym kotle 2 x 1,6 x 1,7 m, napełnionym wodą z lizolem każdy musiał się zanurzyć, bo o myciu nie mogło być mowy. Do takiego kotła ładowano po sześciu ludzi. Blockführerzy stali z kawałkami węża gumowego i pomagali biciem do szybkiego wchodzenia i wychodzenia.

Inni polewali strumieniem zimnej wody. Kąpali się wszyscy, owrzodzeni i z ranami ropiejącymi, i zdrowi. Każdy musiał się w tej mazi zanurzyć. Najgorsze było stać na mrozie bez żadnego ubrania. Bojąc się zaziębienia, gdy wychodziła nasza sala ja skryłem się pod łóżko, żeby uniknąć tej „przyjemnej” kąpieli. Jednak jak wszyscy wyszli, blokowy Osi zaczął przeszukiwać salę, no i ujrzał mnie pod łóżkiem. Zadowolony, że będzie miał ofiarę już leciał do mnie, myślałem, że to już koniec, ale okno było otwarte i zdążyłem wyskoczyć przez to okno, i dołączyłem do tych, którzy już wracali z kąpieli. Patrząc, a on sprawdza każdego, czy mokry. Ponieważ byłem na końcu, wróciłem się, na polu zmoczyłem głowę w korycie i tak uniknąłem śmierci i kąpieli.

Blokowym bloku nr 5 był Karl Ebner, dezertor z wojska, który w zasadzie nie wtrącał się do naszej sali, był to jeden z przyzwoitszych Niemców w czasie, gdy był blokowym. Na tej sali dostawaliśmy oddzielny kocioł jedzenia, tak że dla tych, którzy mieli za zadanie utrzymanie porządku, zawsze była dodatkowa zupa.

Moim zadaniem było utrzymywanie w czystości podłogi. Czystość była kontrolowana codziennie przez Blockführera i Rapportführera i wszelkie zaniedbania kończyły się tragicznie dla tego, kto był za to odpowiedzialny. Toteż, aby nie podpaść, codziennie jak najuważniej zamiatąłem podłogę szczotką od butów.

Dla utrzymania porządku, po posłaniu łóżek i zjedzeniu śniadania wszyscy musieli szybko opuścić blok i przebywać na polu, bez względu na pogodę i porę roku. Była to dodatkowa szykana, ponieważ w okresie jesieni i zimy budzono nas zawsze o 5, a wymarsz do pracy był dopiero jak się zrobił dzień. Trzeba było nieraz parę godzin moknąć lub marznąć na polu.

Na tej sali zaprzyjaźniłem się z kolegą Czesławem Marszałkiewiczem ze Swarzędza. Jemu zawdzięczam bardzo dużo i to, że przeżyłem najtrudniejszy okres. Marszałkiewicz pochodził z rodziny stolarzy, a więc znał pracę stolarską, on mnie też wziął pod swoją opiekę i uczył tego zawodu. Pracowaliśmy przeważnie razem, a że on uchodził za dobrego fachowca, więc pracowaliśmy przy robotach wykończeniowych, które nie wymagały takiego wysiłku, a więcej precyzji. Przy nim i ja korzystałem z tego przywileju fachowca wysokiej klasy, oczywiście jego kosztem. Raz omalże nie wpadłem, a było to tak. Kapo polecił mi zrobienie dwóch nocnych stolików dla Oberscharführera z komanda, które zajmowało się przyjmowaniem rzeczy więźniów. Miała to być robota lewa, i tak, żeby Bauleitung o tym nie wiedział i żeby mnie nie przyłapał na tym żaden Blockführer.

Pracę tę miałem wykonywać w baraku, gdzie były przechowywane nasze rzeczy. Dał mi siekiere, piłkę i hebel i kazał robić te stoliki. Ja nawet nie miałem pojęcia jak takie stoliki mają wyglądać, no i tymi narzędziami mam to zrobić, osłupiałem. Proszę więc o rysunek, jak to ma wyglądać? Kapo odręcznie zrobił szkic i koniec. Mam robić.

Muszę więc zorganizować na to materiał. Znowu więc Czesław w warsztacie pomógł mi przygotować materiał i wytłumaczył jak robić. Robiłem dwa tygodnie, ale zrobiłem. Robiłem tak długo, bo tam, gdzie pracowałem nikt nie zaglądał. Rano mnie wpuszczano i przed zakończeniem pracy wypuszczano. W dodatku przynoszono mi zawsze coś do zjedzenia. Przeciągałem więc robotę jak najdłużej, starając się wypocząć i zarezerwować siłę.

Nasze komando nie przekraczało 50 ludzi, a naszymi rękami zostały wybudowane wszystkie bloki dla więźniów, wszystkie bloki dla SS, magazyny i wieże strażnicze. Byliśmy zawsze dzieleni na kilka grup roboczych, tak że równolegle budowało się kilka obiektów. Przy budowie szpitala SS, który był budowany na wysokim fundamencie, miałem nieszczęśliwy wypadek.

Stojąc na dachu łąpałem za szczyt podawane krokwie i zbijałem deskami, żeby się razem trzymały. Stojąc na jednej krokwi łąpałem drugą i w tym momencie ta, na której stałem załamała się. Spadłem z dużej wysokości razem z tą krokwią. Miałem złamane dwa żebra. Zaprowadzono mnie na rewir. Kiedy tam czekałem na lekarza przyszedł kapo rewiru z lekarzem

SS, zapytali mnie co tu robię. Kiedy opowiedziałem o wypadku, zostałem kopniakami wyrzucony za drzwi. Zdawało się, że to już koniec. Jednak solidarność kolegów, którzy ochraniali mnie od pracy, no i kapo, który dla zabezpieczenia mnie od SS stworzył mi stanowisko prostowania gwoździ. Po kilku tygodniach, a było to w lecie, pozwoliło mi to wszystko przyjść do siebie.

Prostowanie gwoździ uratowało mi dwa razy życie. Drugi raz podczas budowy ostatniej kuchni dla więźniów. W tym czasie byłem z inną grupą na placu Industriebhof, mieliśmy budować magazyn typu „stajnie końskie” i nosiliśmy na to elementy. Ja nosiłem z Edwardem Jarosińskim. Przy jednym z nawrotów Jarosiński gdzieś odszedł i zostałem sam, a tu idzie Blockführer Juchelek, udaję więc, że coś robię. On jednak oskarżył mnie, że uciekłem z ogrodu, który się blisko znajdował, gdzie chodziłem kraść marchew. Odpowiedziałem, że nic podobnego, że jestem cieślą i przygotowujemy materiał do budowy. Ten jednak nie słuchał i zabrał mnie do budy ogrodnika, i tam z kapo Moopastą, który mnie trzymał za głowę, bił mnie stylem od łopaty gdzie popadnie.

Po trzynastym uderzeniu styl się złamał, więc mnie puścił. Po tym biciu nie mogłem chodzić, mocz oddawałem z krwią. Zostałem więc skierowany do budowy kuchni i znowu lecę się prostowaniem gwoździ. Silna wola życia zrobiła swoje i po kilku tygodniach powróciłem do siebie. Było to możliwe w naszym komandzie, gdzie załoga ulegała bardzo małym zmianom, gdzie była wśród Polaków wielka solidarność.

W 1943 r. zostało dozwolone przesyłanie paczek do obozu, wtedy sytuacja uległa radykalnej poprawie. Najpierw otrzymali paczki ci, którzy pochodzili z terenów przyłączonych do Rzeszy. Z Generalnego Gubernatorstwa otrzymali później. Kiedy otrzymałem pierwszą paczkę, jakkolwiek niebogata, ponieważ tylko chleb, ser i trochę tytoniu, była to olbrzymia radość. Wiedziałem, że rodzinie jest bardzo ciężko i żeby coś mi posłać musi sobie odejmować od ust, ale najważniejszy był chleb.

Paczki były dostarczane do obozu SS, a następnie do obozu więźniów do Poststelle. Tam były segregowane, następnie były wypisywane kartki i każdy kto otrzymał paczkę był zawiadomiony karteczką, które rozdawał pisarz blokowy. Po wieczornym apelu szło się odbierać paczki. Na punkcie wydawania paczek było zawsze dwóch Blockführerów, którzy wydawali paczkę. Każda paczka była rozpakowywana, wszystko podlegało sprawdzeniu, czy nie ma rzeczy niedozwolonych. Wszystko więc było krajane, no i co uznali za wartościowsze odrzucał przez esmanów do koszów stojących obok nich, a resztę zmieszana oddawano więźniowi.

Paczki były różne. Były paczki skromne, ale były i paczki bogate, zawierające masę żywności i tzw. smakołyków. Niejednokrotnie rodzina, kosztem wyrzeczeń, pragnęła w ten sposób udokumentować troskę o swojego bliskiego, a nie wiedziała, że tym stwarza tylko dodatkowy kłopot. Na przysmaki wszyscy Niemcy byli łasi i takie paczki najpierw okradano na Poststelle, następnie czekali na to blokowi, sztubowi, kapo i cała plejada tych, którzy mieli władzę nad więźniem.

A trzeba wiedzieć, że jeżeli już ktoś miał jakąś władzę, to była ona niczym nie ograniczona, to była władza życia lub śmierci; przecież zabicie drugiego uchodziło bezkarnie. Toteż więźniowie wielokrotnie niewiele z tych paczek skorzystali. Tam wystarczył chleb, nawet suchy, byle go było pod dostatkiem, bo na brak apetytu nikt nie narzekał.

Kapo, który wiedział, że ktoś dostaje dobre paczki, a nie podzielił się z nim, potrafił tak załatwić człowieka w czasie pracy, że już mu więcej paczki nie były potrzebne. Wielu z tych, którzy otrzymywali paczki było już w stanie skrajnego wyczerpania i jednym te paczki potrafiły pomóc przeżyć, dla innych były przyczyną szybszego zakończenia życia.

Skrajnie wygłodzony człowiek, jeżeli nie umiał rozsądnie korzystać z paczki (a trzeba wiedzieć, że głód nie jest dobrym wykładowcą rozsądku), to usiłował sobie pojeść do syta i jadł aż skończył życie w boleściach. A było i tak, że podobne wygłodzone istoty napadały na właściciela paczki i odbierały mu ją, przy tym jeszcze go bijąc. W sumie jednak paczki wybitnie złagodziły panujący głód, a więc i śmiertelność z tego tytułu.

Paczki przychodziły nie tylko od rodzin, wielu otrzymywało – za pośrednictwem różnych osób – paczki od organizacji działających na terenie kraju. Były wypadki, że z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przyszły paczki dla więźniów.

Każda paczka musiała być w tym samym dniu pokwitowana listem do domu. W liście takim wolno było napisać, że: paczkę w dniu dzisiejszym w całkowitym porządku otrzymałem za co serdecznie dziękuję, i podpis. Rodzice moi w przysłanym chlebie przesyłali również nielegalne listy pisane po polsku. W listach tych nie tylko były opisywane sprawy domowe, ale i panująca sytuacja w Polsce i sytuacja polityczna w świecie.

List taki, napisany drobnym pismem na cienkim papierze, był silnie zwinięty w rulonik i umieszczony w chlebie w sposób niewidoczny. W taki sam sposób były przesyłane listy do więzienia w Rzeszowie, więc ojciec sposób ten starał się wykorzystać i do obozu. Nie wiedział, że tu te łotry chleb kroją na drobno. Listy te szczęśliwym trafem docierały zawsze do mnie.

Nawet kiedy przez pewien czas, zarządzeniem Lagerführera, były konfiskowane wszystkie paczki i dzielone kolejno na bloki dla wszystkich, to jakimś szczęśliwym trafem ten kawałek chleba z listem dostał kolega z 20 bloku i list ten otrzymałem.

Listy te przyczyniały mi bardzo dużo strachu, ponieważ bałem się, że przy wydawaniu paczki, w czasie krajania chleba nóż esmana zatrzyma się na liście i jeśli przeczytają go, to wtedy rodziców zabiorą do obozu. Ile razy szedłem po paczkę, to zawsze ze strachem, a nie radością. Usiłowałem w listach do domu dać do zrozumienia, żeby tego nie robili, lecz bezskutecznie. Aż pewnego razu przy odbiorze paczki, a wydawał wtedy Blockführer Drozdowski, jeden z najgorszych polakożerców, z Blockführerem Czerwinsky młodym Ukraińcem, przy krajaniu mojego chleba natrafili na list. Ja ze strachu byłem prawie nieprzytomny, bo wiedziałem, że tam jest, i co nas czeka, że ja w najlepszym wypadku pójdę do S.K., a rodzina pójdzie do obozu.

Czerwinsky list wyciągnął, rozkleił i podał Drozdowskiemu. Ten usiłował coś wyczytać, ale ponieważ paczka szła bardzo długo, wilgoć rozpuściła atrament i widocznie nie mógł nic odczytać. W każdym razie ja stałem już jak sparaliżowany ze strachu, a on ten list podarł i rzucił pod stół; uważałem to za cud i po odebraniu paczki nie mogłem z osłabienia dojść do bloku.

Nie bałem się o siebie, bo już byłem w obozie, ale strach o rodziców odebrał mi siły. Szczęśliwym trafem z naszego bloku jeden warszawiak wychodził na wolność, więc poprosiłem go, by napisał do rodziców, żeby tych listów nie pisali. Adresu nauczył się na pamięć i trzeba stwierdzić, że słowa dotrzymał, do rodziców napisał, co stwierdziłem po powrocie. Przez jakiś czas listów nie wysyłali, ale po pewnym czasie wysyłali znowu i do czasu, gdy paczki otrzymywaliśmy, tj. do czerwca 1944 r., takie listy zawsze dostawałem.

Jakkolwiek praca w komandzie cieśli była jedną z lepszych dzięki panującym stosunkom, to wcale nie znaczy, że była lekka i każdy był ze swego losu zadowolony. Tak nie było, a dowodem tego był fakt, że tej pracy nie mogli ludzie wytrzymać i usiłowali dokonywać ucieczek.

W jesieni 1942 r., podczas budowy baraku dla kompanii SS, jeden z naszego komanda cieśli przygotował sobie w czasie budowy skrytkę pod podłogą. Tam zorganizował trochę jedzenia i jednego dnia schował się w tej skrytce, przykrywając wejście dopasowaną płytą podłogową. Po zakończeniu pracy, na głos dzwonu wszyscy ustawili się piątkami i poszczególne komanda wracały do obozu.

Na zbiórce stwierdzono brak jednego więźnia. Ustalono, że brakuje tego, który pracował przy budowie baraku SS. Rozpoczęto więc poszukiwania. Kiedy nie dawały one rezultatu musieliśmy pomaszerować do obozu, ponieważ cały obóz czekał z apelem. Po zameldowaniu na bramie, że jednego brakuje, odesłano nas do poszczególnych bloków, ażeby zliczyć cały stan, bo może więzień ten wszedł do obozu.

Kiedy stwierdzono kogo brakuje, komando cieśli ustawiono pod bramą, a wszyscy kapowie i Vorarbeiterzy oraz SS-mani poszli na poszukiwania. Podczas trwania poszukiwań zaginionego, dla całego obozu zarządzono karne ćwiczenia. SS-mani wściekli, że muszą stać i pilnować nas, zamiast iść do kantyny, zaczęli okropnie znęcać się nad nami.

Przy każdym jednym bloku stanął Blockführer i rozpoczął z nami diabelski taniec, a więc bez końca padnij, powstań, czołgaj się, skoki w przysiadzie, i od nowa to samo, a wszystko było robione w szalonym tempie. Teren, gdzie te zbiórki się odbywały, był nierówny, rozkopany, toteż na skutek tych ćwiczeń wiele osób zostało na miejscu nieżywych.

Inni natomiast ciężko rozchorowali się i nie byli na drugi dzień zdolni do pracy. Oprócz tych ćwiczeń, które były straszne, bo przecież takie czołganie się po kamieniach czy padanie powodowało zranienia, a jeszcze dużo spustoszenia zrobili SS-mani bijąc nas drągami, kijami gdzie popadło. Poszukiwania przedłużały się, a nad nami, pod nadzorem Antona Thumanna, znęcała się cała sfera nazistów oraz ich sługusów.

Wreszcie usłyszeliśmy nieludzkie krzyki, które były dowodem, że uciekinier został schwytany. Wkrótce ujrzeliśmy esmanów z psami, którzy prowadzili tego, który usiłował wyrwać się z tego piekła. Był straszliwie zbity i pokąsany przez psy. Przywlekli go do obozu i postawili przed bramą. Odbywał się apel, wszyscy blokami stają na baczność, czapki zdejm i na prawo, względnie na lewo, patrz (w stronę Lagerführera). Rapportführer Hellmut Eschner zameldował, że stan obozu pasuje. Po złożeniu raportu Lagerführer ogłosił, że ktokolwiek będzie próbował uciekać, względnie będzie przygotowywał się do ucieczki, a najbliżsi jego towarzysze nie zameldują o tym, to ten, który zostanie na tym przychwycony i ci co z nim pracują zostaną surowo ukarani chłostą i wcieleni do karnej kompanii. Za dzisiejszą próbę ucieczki więzień niemiecki zostanie publicznie ukarany karą chłosty, 25 uderzeń podwójnych, i przywiązaniem do słupka. Dwóch oprawców położyło skazańca na specjalnie skonstruowanym do tego celu stołku, a następnie jeden trzymał za głowę, a dwóch odmierzało po 25 uderzeń bykowcem. Po tej egzekucji więźnia zawieszono na słupku, który był wkopany obok bloku drugiego.



Cały obóz został rozpuszczony do bloków i poszedł spać bez kolacji. Więzień powieszony na słupku był w ten sposób, że obydwie ręce miał silnie razem związane w tyle i za te ręce był powieszony w ten sposób, że nogami nie dostawał do ziemi. Była to tortura straszna, ponieważ po bardzo krótkim czasie ciężar ciała opadał do przodu i wykręcał ręce w ramionach.

W dodatku nad skazańcem tym w sposób nieludzki pastwili się Blockführerzy. W późnych godzinach wieczornych zastrzykiem z fenolu dobił go na tym słupku kapo rewiru Hermann Lesche. Była to pierwsza ucieczka od czasu jak przybyłem do obozu. Ta nieudana ucieczka wywołała u mnie refleksje – czy można próbować ratować swoje życie, wiedząc jakie to za sobą pociąga skutki, ile przez to ginie istnień ludzkich?

Podczas mego pobytu w obozie było wiele prób ucieczki, które zawsze kończyły się tragicznie dla tych, którzy uciekali, a konsekwencje dla pozostałych były jeszcze bardziej tragiczne. Usiłowała w kamieniołomach uciekać cała grupa, uderzając na postenkietę. Wszyscy zostali ujęci, a część zastrzelono.

Trzej więźniowie Rosjanie próbowali uciekać kanałami, jednak wyjście z kanału było zabezpieczone kratą, której nie mogli sforsować. Ledwie żywych wyciągnięto z kanału i stracono. Jedyna ucieczka, która się udała z obozu, to ucieczka kapo Kanalbau oraz kapo od strugania kartofli w kuchni obozowej. Uciekli oni w godzinach popołudniowych kanałem. Kapo Kanalbau wcześniej przygotował kratę do wyjścia. Po wyjściu prawdopodobnie mieli przygotowaną taksówkę, którą odjechali. To była ucieczka przygotowana z pomocą z zewnątrz. Kapowie ci mieli „naorganizowane” złoto oraz pieniądze, którymi zdołali skusić kogoś z zewnątrz obozu. Mimo udanej ucieczki, jeden z nich po roku został schwytany w Hamburgu.

Jeden z więźniów ukrył się tak skutecznie w magazynie odzieżowym, że przez dwa dni trwały poszukiwania, a posterunki nie schodziły ze służby. Trzeciej nocy nie wytrzymał i zabrał w magazynie chleb jednemu Niemcowi, który tam pracował, to go zdradziło i został odkryty. Gdyby był jeszcze tę noc wytrzymał, następnego dnia byłyby posterunki ściągnięte i pewne szanse ucieczki miałyby. Szanse ucieczki były minimalne, ponieważ nawet po udanym wydostaniu się poza posterunki, więzień nie miał nigdzie żadnego oparcia.

Przede wszystkim nie miał ubrania, po drugie był znaczny, ponieważ miał ostrzyżoną głowę, a przez środek głowy wygolony pas szerokości 4 cm. Rosjanie mieli dodatkowo, wygolone na krzyż, takie ścieżki przez głowę. Otoczenie obozu składało się z ludności niemieckiej, wrogo do nas nastawionej. Ponadto strach u ludności eliminował uczucia ludzkie.

Każda ucieczka więźnia była sygnalizowana, syreny alarmowe obwieszczały w promieniu kilku kilometrów, że uciekł więzień z obozu i każdy obowiązany jest udzielić pomocy przy schwytaniu. A udzielenie pomocy więźniowi równało się zamianie rolami. W tej sytuacji, mimo tego, że niektórzy pokonali wiele trudności i ucieczka ich została okupiona drogą przez pozostałych, to jednak po kilku dniach wolności byli z powrotem dostarczani do obozu.

Każdy uciekinier dostarczany był do obozu, obojętnie żywy czy zastrzelony, po to, by wykonać na nim wyrok. Takiego więźnia schwytanego żywego ubierano w strój clowna, przywieszano mu tablice z przodu i z tyłu z napisem: "Ich bin wieder da" – „Ja jestem tu z powrotem”. Tak wystrojony prowadzony przed orkiestrą, musiał przejść drogą obozową, wzdłuż której były ustawione wszystkie bloki.

Następnie otrzymywał chłostę, a w końcu publicznie został powieszony na szubienicy. Jednego więźnia przywieziono już zastrzelonego, a nie było go już ze dwa tygodnie, więc byli pozbawieni rozrywki ci kaci spod znaku SS, bo nie mogli urządzać widowiska, nie mogli już pastwić się nad żywym, więc zakończyło się tym, że tylko trupa jeszcze powiesili. Bo tego wymagała skrupulatność niemiecka. Mimo tej beznadziejności ucieczki i mimo tych odstraszających metod, ucieczki były podejmowane do końca istnienia obozu. Dowodzi to, że beznadziejność losu w obozie była przez cały czas taka sama. Prób ucieczek było wiele i każda taka ucieczka powodowała represje w stosunku do całego obozu, lecz te metody nie odnosiły skutku.

Regulamin obozowy przewidywał różne kary dla więźniów, a więc stosowano za karę pracę w godzinach wolnych od pracy tzw. karną pracę, wcielenie do karnej kompanii, chłostę, przywiązywanie do słupka i karę śmierci. W czasie mego pobytu w obozie otrzymałem karę chłosty oraz odpracowałem 18 tygodni karnej pracy. Przyczyną tego było palenie papierosów. Regulamin obozowy zabraniał w pracy mieć przy sobie tytoń lub papierosy i nie wolno było palić nawet w czasie przerwy śniadaniowej. Podczas budowy magazynu odzieżowego, tzw. Bekleidungskammer, z kolegą Czesławem Marszałkiewiczem przybijaliśmy płyty sufitowe, no i postanowiliśmy przerwać pracę i wypalić papierosa, a koledzy mieli obserwować przez okna, czy kto nie idzie.

Obstawa nie dopilnowała, do baraku wszedł Blockführer Klitsch i zastał nas z papierosami w ustach. Wpadł, dał nam po twarzy, zapisał nasze numery i powiedział, że sporządzi meldunek na nas do komendanta obozu. Wiedzieliśmy, że słowa dotrzyma, bo świ-

nia był dla Polaków nieprzeciętna, a więc papieros stracony, oberwaliśmy po twarzy, otrzymamy karę od Lagerführera Thumanna, a nawet nie popaliliśmy.

Postanowiliśmy w takim razie jeszcze raz zapalić, żeby za darmo nie cierpieć. I znowu obstawa nie dopilnowała, wpada Blockführer Juchelek, suchotnik, który wszędzie węszył jak tchórz, podkradając się pod oknami. Historia się powtórzyła. Za parę dni rano otrzymujemy zawiadomienia, że o oznaczonej godzinie mamy się zameldować w komendanturze u Lagerführera.

W oznaczonym dniu stawiliśmy się przed oblicze samego Antona Thumanna. Pierwszy poszedł Czesław Marszałkiewicz i dostał 4 tygodnie karnej pracy. Ja wszedłem następny, zameldowałem się, zapytał czy to prawda, że paliłem, odpowiedziałem – tak jest, no i dostałem 6 tygodni karnej pracy.

Za dwa dni stawiliśmy się ponownie przed Lagerführerem Thumannem i znowu kolega Marszałkiewicz otrzymuje 2 tygodnie karnej pracy, a ja 6 tygodni. To już mam do odrobienia 12 tygodni. Jaką sprawiedliwością kierował się Anton Thumann nie mogłem pojąć, ale i tak wolałem taką karę niż chłostę czy karną kompanię.

Mam wrażenie, że niski numer kolegi Marszałkiewicza miał pewne względy, no i to, że Thumann sam był z zawodu stolarzem, pewnym sentymentem darzył komando cieśli, a kolegę Marszałkiewicza znał osobiście, ponieważ był prawie od początku obozu, a on specjalnie interesował się od początku tym komandem. Utwierdza mnie w tym jeszcze jeden wypadek, że kiedy podczas budowy wiązania dachowego na nowym krematorium miałem następną wpadkę, historia się powtórzyła.

Było tak, koledzy Jerzy Luda, Edward Jarosiński, Kulig i ja przyszliśmy do pracy do krematorium i koniecznie chcieliśmy zapalić. Wtedy były olbrzymie trudności z papierosami. Mnie udało się zakupić prymkę (tytoń do żucia) i z niej zrobiłem papierosa. Tego papierosa mieliśmy palić w trójkę, Luda, Kulig i ja. Jarosiński nie palił. A więc zapaliliśmy. Luda już popalił i wyszedł z pomieszczenia, palił Kulig, a ja czekałem na kolejkę, a tu drzwi się otwierają i wchodzi Bauführer Schmidt. Nic z nami nie dyskutował, tylko zabrał nas ze sobą i zaprowadził na inną budowę do kapo Żorza. Powiedział, że my zamiast pracować palimy i żeby nas ukarał. Zostawił nas i wyszedł. Kapo oczywiście zaczął krzyczeć, jakby miał nastąpić koniec świata i usiłował egzekwować bicie. Nie brał się jednak za styl od łopaty czy kilofa, ale wziął listwę, no i tą listwą odliczył nam po pięć i wyrzucił do pracy. My wylecieliśmy zadowoleni ze śmiechem i natknęliśmy się na Bauführera Schmidta. Jak ten zobaczył, że my się śmiejemy, stwierdził widocznie, że kara była za mała.

Bierze nas ze sobą i prowadzi na dyżurkę Blockführerów przy bramie wyjściowej. Zgłasza nasze przestępstwo i odchodzi. Tam dostajemy chłostę po 7 podwójnych uderzeń bykowcem, no i meldunek do komendanta. W niedługim czasie stanąłem po raz trzeci przed Lagerführerem Antonem, z tym że w innym składzie. I znowu niesprawiedliwość. Kulig dostaje za palenie papierosa 2 tygodnie karnych robót, a ja za zamiar dostaję 6 tygodni. Widocznie już taką normę miał dla mnie – po 6 tygodni. A więc mam do odrobienia 18 tygodni karnych robót, tj. przeszło 4 miesiące. Całe szczęście, że nasze komando i tak zawsze prawie pracowało w nocy do świtu, więc specjalnej różnicy mi to nie sprawiło.

Wyjątkiem była niedziela, bo w niedzielę po południu wszyscy, którzy byli skazani na karną pracę musieli pracować, no i ja musiałem iść do pracy. Do nadzoru komanda tych skazanych na karną pracę wyznaczono kapów najgorszego autoramentu, toteż praca tam była nadzwyczaj ciężka. No i pracę wybierano też najcięższą, jak noszenie kamieni, równanie terenu, przenoszenie różnych ciężarów.

W końcu ta nadmierna praca na deszczu i chłodzie spowodowała u mnie chorobę. Na całej twarzy dostałem jakichś guzów, które pękały i cała twarz wyglądała jak masakra. Zostałem przyjęty na rewir. Leczony byłem przez 6 tygodni. Całą twarz miałem oblepioną maścią z kądzielą, tak że chodziłem jak w masce karnawałowej, ale twarz mi się wygoiła nie pozostawiając żadnych śladów.

Miałem więc przerwę w wyroku i możliwość odespania zaległości. Ponieważ w tym okresie otrzymywaliśmy paczki, więc już takiego głodu nie było, a nie pracowałem tylko leżałem, więc jakoś to się przeżyło. Poza pracą jaką wykonywaliśmy dla Bauleitungu mieliśmy bardzo dużo zleceń natury prywatnej, tak zwany „szwarc arbajt”.

Po wybudowaniu bloku oddano tylko puste ściany, wyposażenie bloku dawał oddział gospodarczy, tj. Verwaltung; wyposażał w łóżka piętrowe, stoły do jadalni, taborety i to już wszystko. Resztę wyposażenia, jak różne półki, regały, łóżko dla blokowego i zastępcy musiał już organizować blokowy we własnym zakresie.

Ażeby to wyposażenie mieć, musiał żyć w zgodzie z cieślami, żeby mu to zrobili, no i musiał za to płacić żywnością. Cieśle, aby móc zrobić potrzebne wyposażenie musieli postarać się o materiał, przeschmuglować do obozu narzędzia, no i zrobić tak, żeby ich nikt przy tym nie złapał, ani z nadzoru SS, ani żaden kapo. A więc dość duże ryzyko.

Z materiałem drzewnym, szczególnie z deskami, wiele kłopotu nie było, ponieważ na placu składowym było złożonych kilkadziesiąt baraków. Jak więc znosiło się na budowę do

obożu, to znosiło się zawsze duże rezerwy płyt. Tak, że w obozie była taka rezerwa płyt barakowych, że można było wybudować kilka baraków.

Materiał więc czerpało się z tych płyt. Że się niszczyło? No to co! Nas niszczyli, a myśmy się mieli przejmować barakami? W taki sposób zostały wyposażone wszystkie bloki. Przywiłej dostaw wyposażenia mieli przede wszystkim Niemcy z naszego komanda, no i kapo. Za to płacili chlebem, margaryną lub zupą.

W sumie na wyposażenie wszystkich bloków zostały świadomie zniszczone elementy na około 13 baraków. Rozliczyć Niemcy tego nie byli w stanie, bo obóz był stale w rozbudowie. W 1944 roku w jesieni rozpoczęto budowę dalszej części obożu, tak zwany oświęcimski, a więc znowu nazwożono elementów, tak że można było bezkarnie niszczyć, byle nie dać się złapać na gorącym uczynku. Te elementy na baraki służyły również jako opał, bo w okresie zimowym przydział węgla na opalanie pieca wystarczał na dwie godziny. Pod koniec roku 1944 i w roku 1945 nanoszono do obożu wiele płyt dachowych, płyty te były długie 7–8 m. Ich przeznaczenie było inne, lecz o tym wiedzieli tylko nieliczni. Płyty te miały być użyte jako pomost przez druty, gdyby Niemcy usiłowali wyniszczyć obóz.

W 1943 r. do obożu napływały transporty masowe, po kilkaset a nawet kilka tysięcy ludzi, z terenów polskich, ZSRR, Holandii, Norwegii, Francji. Były okresy, że bloki były tak zapelnione, iż na każdym łóżku spało po dwóch, a nawet i po trzech, toteż i praca w naszym komandzie była wyczerpująca, ponieważ budowa baraków odbywała się prawie dzień i noc i wielu kolegów z naszego komanda nie wytrzymało tego tempa, chorowali, szli na rewir i tam kończyli życie.

Praca szła bez względu na warunki atmosferyczne. Nawet w okresie najcięższej zimy pracować można było tylko w marynarkach, a płaszcze musiały być zdjęte i poskładane w kostkę. W Nowy Rok 1943 pracowałem z kolegami przy budowie tkalni, zabijałem deskami szczyt budynku. Praca na rusztowaniu wysoko. Mróz dochodził do 35 stopni, a wiatr omal nie zrzucił z rusztowania. W tych warunkach trzeba było oznaczać deski ołówkiem i po przyrżnięciu przybijać gwoździami. Pracowało się w marynarkach i bez rękawic. Od czasu do czasu można było się tylko wymienić z tymi, którzy pracowali na dole.

Co wtedy przeżywał każdy z nas? Nowy Rok, święto, ludzie się spotykają, składają sobie życzenia, a my czym jesteśmy? Niejednemu łzy stały w oczach, ponieważ człowiek myślał zupełnie o czym innym niż o pracy, więc nie tylko straszne warunki życia powodowały, że ludzie normalnie się kończyli. I z naszego komanda szli na druty lub tzw. postenkietę. Podczas pracy w jedną niedzielę, a zagonili nas wtedy do przenoszenia prochów z krematorium, rzucił

się jeden na ogrodzenie, by tam znaleźć śmierć od wysokiego napięcia. Przenosiłem wspólnie listwy z jednym Niemcem, którego nazwiska nie pamiętam, stary więzień o niskim numerze, przeszedł przez obóz Dachau, Sachsenhausen. Zrzuciliśmy z ramion listwy i ten nie nawraca ze mną po następne, ale kieruje się na strażnika stojącego w oddaleniu około 30 metrów. Usiłowałem go powstrzymać, prosząc by tego nie robił, ale on mi tylko odpowiedział: „Mein Kamerad das ist genug” – „Mój towarzyszu, to wystarczy”, i poszedł. Wachman ani go usiłował zatrzymać słowem, a kiedy przechodził koło niego strzelił z bliska, jak do wściekłego psa, bez słowa.

Dziś każdy z nich mówi, że działał na rozkaz. Za to, że przeszkodził w ucieczce otrzymał urlop i pojechał ścisnąć dzieci i żonę. Rękami zbrukanymi krwią niewinnego człowieka brał małe dziecko na ręce, które z ufnością patrzyło na ojca jaki on jest dobry. To, że odebrał życie ojcu takich samych dzieci, że pozostawił ich sierotami do jego mózgu nie docierało.

Takie uśmiercanie ludzi było na porządku dziennym. Po kilka razy na dzień słychać było strzały wokół obozu, a za chwilę nawoływanie noszowych, żeby przychodzili zabrać trupa.

Jedni szli, bo nie mogli znieść warunków obozowych, ciężkiej pracy, głodu i upodlenia człowieka. Tak poszedł z naszego transportu młody chłopiec Kwieciński, profesor Eille został zmuszony przez Blockführera Klitscha do pójścia na postenkietę.

Była to ulubiona rozrywka Blockführerów; brał więźniowi czapkę, przerzucał poza linię strażników i posyłał więźnia po tę czapkę, z chwilą, gdy ten mijał linię straży, taki potwór z trupią czaszką strzelał do więźnia bez słowa, jak do kaczki.

W drugiej połowie 1943 r. Niemcy postanowili wykorzystywać siłę roboczą więźniów w szerszym zakresie. Zaczęto organizować filie obozowe, wysyłając transporty do różnych miejscowości. Zabierają również z naszego komanda do budowy tych filii. Pojechali jedni z pierwszych – Niemiec Kuno von Aügen, Mundek Gabriel, następnie pojechał Antek Kapuściński, Henryk Ogłuszko, Jan Mazanek, Kulig, Sowa.

Z początkiem 1944 r. wyjechał również mój serdeczny przyjaciel Czesław Marszałkiewicz. Dwa razy byłem i ja przeznaczony do transportu, ale zawsze w jakiś sposób zostałem wycofany. Pewnego razu na wiosnę w 1944 r. byłem już całkowicie przygotowany do transportu na wyjazd do Brzegu Dolnego, do komanda zwanego Dyhernfurth II. Otrzymałem już całkowite wyposażenie, tj. nowe pasiaki, a nawet wyżywienie na drogę. Stałem pod bramą od apelu do godz. 10 i wtedy przyszło z komendantury zawiadomienie, żeby mnie wycofać z transportu. Później się dowiedziałem, że to moje przestępstwo nie kwalifikowało mnie do wyjazdu poza teren obozu, jedynie – przez komin.

Po wyjeździe kolegi Marszałkiewicza pracowałem przeważnie z Henrykiem Gabrysiem z Niska i Czechem Franciszkiem Dworzakiem. Bardzo dużo czasu zmarnowaliśmy przy wykończeniu budynku na mieszkania dla oficerów SS, komendanta obozu i pozostałych esesmanów. Była to praca poza obozem, budowa stała przy drodze, na tej budowie można było mieć złudzenie warunków wolnościowych, ponieważ okropności obozowe były oddalone.

Pracowaliśmy otoczeni dodatkowymi posterunkami. Ponieważ nikt tam specjalnie nie przychodził, toteż pracę tę przeciągaliśmy bardzo długo, tłumacząc, że wykończenie mieszkania komendanta, które było robione na wysoki połysk, wymaga precyzji i czasu. Tam też ołówkiem stolarskim usiłowałem, na odwrocie płyt dykty jakimi były wybijane ściany mieszkania komendanta, nakreślić w skrócie historię naszego komanda. Historia ta nie zachowała się, ponieważ barak ten spłonął.

I tam przydarzyła mi się nieprzyjemna historia. Należało na strychu tego baraku umocować zbiornik na wodę i do tej pracy zostałem wysłany z kolegą Staszkiem, nazwiska nie pamiętam. Pracę wykonaliśmy dość szybko i mieliśmy zamiar, po wypaleniu papierosów, na zmianę się przespać.

Zapomnieliśmy jednak wciągnąć za sobą drabinę na strych. Palimy papierosy w warunkach niebezpiecznych, ponieważ sufit wyłożony był matami papierowymi wypełnionymi trawą, a tu z otworu wyłazi i krzyczy na nas Bauführer Schmidt, żebyśmy zeszli. Cóż było robić, zeszliśmy więc; mówi, że prowadzi nas do Bauleitera Obersturmführera Grebera.

Próbowałem mu tłumaczyć, że nic takiego złego nie zrobiliśmy, pracę wykonaliśmy szybko, a że zapaliliśmy papierosy, to jednak zachowaliśmy dużą ostrożność, no i mieliśmy wracać do innej pracy. Schmidt miał już w tym czasie wezwanie na front. Klęski jakie ponosił Hitler na wszystkich frontach zmuszały reżim niemiecki do częściowego wycofania dekowników z obozów na front. Przyprowadził nas już pod Baubüro, ale widocznie uznał, że kiedy idzie na front to już nie warto brać tych dwóch na swoje sumienie i skierował nas do warsztatów, puszczając wolno.

W drugiej połowie 1944 r. nastąpiło w obozie poważne zagęszczenie. Został ewakuowany obóz z Majdanka do Gross-Rosen, przybył transport w liczbie ponad 4 tys. więźniów. Powstały plany dalszej rozbudowy obozu. Transportów przybywało coraz więcej.

Niemcy wycofywali się systematycznie na wszystkich frontach. Miasta na wybrzeżu oraz Berlin zamienione zostały przez lotnictwo alianckie w gruzy, ludność cywilna nie miała gdzie mieszkać. W miasteczku Gross-Rosen zaczęto organizować osiedle dla uchodźców i do budowy tego osiedla utworzono komando w liczbie 100 osób.

Obok miasteczka powstawały wykopy, zakładano fundamenty, murarze murowali z pustaków domki dwurodzinne. Z grupą cieśli zostałem wyznaczony do prac ciesielskich i stolarskich. Na budowie tej stosowałem sabotaż zakamuflowany, starając się niszczyć materiał. Niszczyliśmy więc tarcicę i gwoździe, zużywaliśmy na budowę krokwi, które były według szablonu robione z desek, nadmierną ilość desek i gwoździ. Zamiast wyliczonych według rysunku 250 gwoździ, niejednokrotnie wbijaliśmy po 2 tysiące, bijąc jeden obok drugiego, co nie tyle umacniało wiązania, ale osłabiało.

Na tej budowie zdarzył się wypadek, za który o mało nie zostałem wcielony do karnej kompani i oddany pod sąd. Po postawieniu już prawie wszystkich krokwi na dachu, przy stawianiu ostatniej przewrócił się cały dach. Dwóch ludzi, którzy byli na górze, dostało się pomiędzy powalone krokwie i uwięzieni za nogi wisieli między krokwiami. Poza lekkim potłuczeniem byli tylko przestraszeni i szybko zostali wyciągnięci. Gorzej było z krokwiami, ponieważ dużo zostało połamanych przez przewrócony komin. O wypadku Kommandoführer zawiadomił komendanturę obozu i na miejsce przyjechała komisja. Przyjechał komendant, Bauführer i jeszcze kilku, a ponieważ ja byłem odpowiedzialny za prace ciesielskie grozili mi i zarzucali sabotaż.

W grupie cieśli nie było ani jednego Niemca, tylko sami Polacy i Rosjanie, a więc nie tylko dopatrywali się sabotażu. Ja tłumaczyłem jak była wykonana praca, że zrobione było wszystko co gwarantowało wytrzymałość dachu, ale dach został obalony przez przewracający się komin, który był krzywo wybudowany. No i zaczęli rozpatrywać to zagadnienie, jeden zabrał się do pomiarów, no i stwierdził, że mówię prawdę. Dali więc nam spokój. Co było przyczyną nie wiedziałem sam, ale się domyślałem, że nic innego tylko komin, no i tak się wywinąłem. Murarze byli Niemcami i mieli większe zaufanie, więc zwalili na materiał i też nic im nie było. Domków tych mieliśmy wybudować 40, ale do końca zimy nie zdążyliśmy wykończyć, w zimie już nas nie brano do tej pracy. Te, które zostały wybudowane zostały wykończone, część już po wojnie. Obecnie są zamieszkane przez naszych rodaków.

Do budowy tej wychodziliśmy jak tylko zrobił się dzień i przez cały dzień byliśmy w pracy, wracaliśmy dopiero na wieczorny apel. Obiad otrzymywaliśmy łącznie z kolacją, tak że praktycznie to jadaliśmy raz na dzień, ponieważ na śniadanie kawę czy zupę avo trudno traktować jak jedzenie.

Codziennie chodziliśmy przez miasto, a więc przez zamieszkane ulice. Nie było wypadku, żeby ktokolwiek z mieszkańców usiłował okazać jakieś współczucie dla tych ludzi w pasiakach. Prowadziła nas zawsze bardzo silna eskorta, złożona z SS i SS-Galizien, a na



miejscu pracy tworzyli oni łańcuch straży, którym otoczona była budowa, by nikt nie uciekł, ani nikt z zewnątrz nie kontaktował się z więźniami.

Dużą pomoc w tym czasie okazywał więźniom Polak, którego nazwiska nie pamiętam. Służył u bauera w Gross-Rosen i dowoził na budowę żużel z cukrowni, przy okazji dowoził z cukrowni cukier nierafinowany i buraki. Polak ten znał warunki panujące w obozie, ponieważ był przez kilka tygodni w obozie, w tak zwanym Arbeitserziehungslager, na przeszkoleniu za usiłowanie ucieczki od bauera. Za dostarczony cukier otrzymywał obuwie lub garderobę, której w obozie nie brakowało, a tylko niebezpiecznie było wynieść.

Tam po raz pierwszy w życiu udało mi się delektować kotem. Kot jak kot, mięso bardzo smaczne, jak z królika. Czasem trafiało się, że na plac budowy zabłądził taki kotek czy pies, no i oczywiście więcej nie wyszedł, swoim mięsem przedłużał żywot innym.

Z konwojem jednego dnia chodził dowódca straży i Niemiec odpowiedzialny za stan więźniów, a innego dnia Ukrainiec. Ponieważ dowódca Ukrainiec stale przesiadywał w szopie, gdzie mieliśmy narzędzia i ważniejsze materiały oraz plany, bardzo dużo rozmawiał. Opowiadał, że pochodzi z okolic Odessy, że Niemcy zamordowali mu całą rodzinę, a on się dostał do niewoli. W niewoli bardzo ich głodzili i maltretowali, następnie zaproponowano mu współpracę. Część była takich, że nie mogąc znieść tych warunków wyraziła zgodę, zostali przeniesieni do innych obozów wychowawczych, a część została zabrana i bez zgody włączona w szeregi SS-Galizien. Skarżył się i płakał, że nie widzi nic przed sobą prócz śmierci, chciałby tylko odpowiednio się zemścić.

Mówiłem mu, że przecież posiada broń przy sobie i jeżeli tak jest jak mówi, to zawsze może z niej zrobić dobry użytek. Nie chciałem z nim na ten temat wiele rozmawiać, ponieważ mu nie dowierzałem, a miałem do tego podstawy. Pewnego razu kiedy z grupą własowców prowadził ćwiczenia i śpiewając rosyjskie pieśni maszerowali koło komanda wracającego z kamieniołomów, młody chłopiec Rosjanin zgorszony powiedział „Ot zemlak”; ten to usłyszał, wyciągnął go z szeregów, zapisał numer i w konsekwencji ten młody chłopiec przez niego zawisł na szubienicy. Egzekucja była wykonana publicznie na placu apelowym, [...]. Cały obóz był tym wstrząśnięty i mimo tego, że każdy był obyty ze śmiercią na co dzień, to jednak śmierć tego chłopca wycisnęła z wielu oczu łzy żalu i nienawiści do oprawców.

Późną jesienią 1944 roku budowa w miasteczku została przerwana. Zostaliśmy wszyscy zatrudnieni w obozie, ponieważ było bardzo dużo obiektów do budowy i wykończenia. Rozpoczęto w szybkim tempie powiększanie obozu o tak zwany później obóz oświęcimski. Na przedłużeniu obozu w kierunku południowo-wschodnim ogrodzono dalszy teren

i wytyczono miejsce pod budowę 20 bloków dwukondygnacyjnych. Kondygnacja przyziemna była murowana z kamieni i cegieł, a druga kondygnacja była barakowa.

W obozie starym pozostało jeszcze do budowy Zellenbau, nie była jeszcze zbudowana część barakowa, ponieważ brakło materiału, część podpiwniczona, w której znajdowały się bunkry i cele śmierci, była już wykończona. Była już również wymurowana część parterowa pralni obozowej, należało stawiać tylko część barakową. Nie zdążono również wykończyć domu publicznego, którego budowa została już mocno zaawansowana, budowa nad pomieszczeniami łaźni została przerwana z konieczności pilniejszych prac.

Olbrzymie tempo pracy w komandzie cieśli było stosowane szczególnie podczas budowy ścian i dachu. Tempo takie było narzucone przez nadzorujących, ale i więźniowie byli zainteresowani w tym, żeby jak najszybciej znaleźć się wewnątrz baraku. Praca wewnątrz baraku dawała możliwość większego wypoczynku oraz chroniła przed warunkami atmosferycznymi, chroniła przed deszczem czy spiekotą, a zwłaszcza przed silnie wiejącymi w tej okolicy wiatrami. Toteż budowa ścian zewnętrznych i dachu była bardzo szybka i wymagała dużego wysiłku, który bywał przy budowie ścian wewnętrznych regenerowany. Po wybudowaniu ścian chroniących przed wzrokiem z zewnątrz wystarczyło postawić placówki obserwacyjne i jak nie było nikogo z nadzoru SS usiąść sobie na kobyłce i walić młotkiem w ścianę, żeby był huk, aby było słyhać, że tam się pracuje, i tak robiliśmy. Komando cieśli było nadzwyczaj solidarne, nie było w nim ani jednego więźnia, który by w jakiś sposób usiłował przypodobać się Niemcom.

Większość komanda stanowili ludzie, którzy dostali się do obozu za czynną walkę z okupantem, ludzie zaangażowani politycznie. Panowała atmosfera koleżeńska, gdzie zawsze słabszy otaczany był opieką. Ponadto pracujący w tym komandzie docierali wszędzie, mieli wstęp do każdego baraku, ponieważ charakter pracy tego wymagał.

Mieliśmy bardzo ścisłe kontakty z Baubüro tak z racji charakteru pracy, jak też i wspólnego przebywania w bloku mieszkalnym. Baubüro było centralą obozową, tam były opracowywane plany wszelkiego rodzaju dotyczące obozu i filii, tam prowadzono nasłuch radiowy z zagranicy, stamtąd płynęły słowa otuchy w najgorszych chwilach załamania.

W komandzie cieśli prowadziło się szerokie dyskusje polityczne i polemiki, ponieważ byli tu ludzie o różnych zabarwieniach politycznych. Tworzono obraz nowej Polski; jakkolwiek obraz ten nie był sprecyzowany, to jednak wszyscy się zgadzali, że nie może być taka jak była, ale musi zapanować prawdziwa demokracja i sprawiedliwość społeczna.

Nie było nigdy wypadku, żeby te sprawy przenikały do naszych opiekunów z SS. Ponieważ mieliśmy praktycznie możliwości wstępu wszędzie, ponieważ musieliśmy usuwać ustereki względnie wykonywać pewne roboty i w barakach SS, i w magazynach, więc cieśle uchodzili za największych „organizatorów”. Niepisane prawo obozowe nakazywało każdemu „organizować”. Na każdym stanowisku pracy obowiązek nakazywał okradać Rzeszę. Obojętnie więc co się „organizowało”. Jeżeli pracowało się w magazynie żywnościowym SS czy kuchni „organizowało się” żywność. Jeżeli w magazynie odzieżowym, to odzież – skarpety, rękawice, obuwie, a nawet skórę, chociaż ona w zasadzie nikomu nie była potrzebna.

W magazynie gospodarczym psuło się różne urządzenia i maszyny, niszczyło i dekompletowało części. Rzeczy użytkowe służyły kolegom, inne niszczyło się, by zubożyć III Rzeszę. Stąd też kradzież przedmiotów, żywności czy odzieży, jeżeli pochodziła z magazynów powierzonych opiece SS, nazywana była „organizacją”. Zabranie rzeczy względnie żywności należących do innego więźnia było karane bardzo surowo przez więźniów, nie raz i śmiercią.

Przyłapanie przez naszych opiekunów z SS na „organizowaniu” kończyło się bardzo tragicznie, w najlepszym wypadku wcieleniem do karnej kompanii, co równało się prawie wyrokowi śmierci. Mimo tak drakońskich środków, wszyscy więźniowie „organizowali” co tylko mogli. Oczywiście, wszystko to potem było wymieniane na giełdzie między blokiem 5 i 6.

W lecie 1944 r. kapo naszego komanda został zabrany do wojska, [...] do tłumienia powstania w Warszawie i tam spotkała go zasłużona kara. Chciał jeszcze bronić reżimu, który wpakował go na kilkanaście lat do obozu – siedział w obozie od 1934 r. i zginął przy mordowaniu mieszkańców Warszawy. Inaczej postąpił Oberkapo z kamieniołomów, który wcielony do wojska po paru tygodniach znalazł się z powrotem w obozie.

Komando Zimmermann zostało powierzone Jerzemu Ludzie. Był to okres bardzo ciężki, paczki już wtedy nie dochodziły do obozu, w blokach olbrzymie przepełnienie, ponieważ nadchodziły stale transporty. Transporty te z kolei były wysyłane w głąb kraju, ponieważ siła robocza Niemcom była potrzebna. Więźniowie musieli zastąpić, na różnych stanowiskach roboczych, wcielonych do armii Niemców.

Wiadomości z frontu w gazecie „Volkischer Beobachter” donosiły stale o planowym wycofaniu się na z góry upatrzone pozycje, o strategicznym skracaniu frontu. Rozpoczęto częściowo ewakuować Oświęcim do Gross-Rosen. Zaczęto przewozić magazyny, materiały, piece krematoryjne, w szybkim tempie budowano obóz na przyjęcie więźniów z Oświęcimia. Bu-

dowa szła w dzień i w nocy, w bardzo trudnych warunkach. Teren tam był niewyrównany, nie były porobione drogi, nie było kanalizacji ani wody.

Baraki stawiane były jako druga kondygnacja, typu ciężkiego, materiały trzeba było dostarczać z daleka, wysoko podawać, do pomocy więc dodawano ludzi z innych komand. Zbliżająca się zima i stale napływające transporty nie pozwalały na dokończenie baraków. Chodziło o to, żeby chociaż postawić ściany i dach. Nastąpił więc nawrót w obozie do okresu roku 1942, kiedy to głód i tempo pracy powodowały nadmierną liczbę zgonów.

Komando nasze, które było zwartą komórką od 1942 r., stopniowo zaczęło się rozpadać. W styczniu z Polaków, którzy byli w tym komandzie w 1942 r., pozostał tylko Jerzy Luda, Wojciech Szymański, Edward Jarosiński, Henryk Fedorowski i Julian Piórek. Byliśmy więc rozproszeni po różnych budowach.

Nadeszła zima 1944/45 r., do obozu napływają bez przerwy transporty ewakuacyjne. Cienie ludzkie umęczone drogą idą piechotą z Oświęcimia. [...] Droga ich znaczone trupami kolegów. Wyszło ich z obozu kilkuset, doszło zaledwie kilkudziesięciu. Reszta na skutek wycieńczenia i głodu zginęła po drodze, dobita strzałem konwojentów z SS.

Dla nas jest już jasne, Trzecia Rzesza się kończy i czas naszego wyzwolenia jest już bliższy. Tylko czy będziemy w stanie przetrwać. Zaślepienie władze obozowe wierzą nadal w cudowną Wunderwaffe, która ma odwrócić klęskę Niemiec. W dalszym ciągu rozbudowują obóz. Rozpoczynają budowę komór gazowych, zwożą piece krematoryjne.

Praca w zakładach Siemensa, zlokalizowanych na terenie obozu, idzie dzień i noc. Kamieniolomy pracują bez przerwy. Esesmani rozwścieczeni niepowodzeniami na frontach wyładowywują swoją nienawiść na więźniach. Kiedy w styczniu 1945 r., wracając z pracy w obozie do swojej grupy poza obozem na apel południowy, meldowałem w Blockführerstube swój powrót z obozu, Blockführer Drozdowski podszedł do okienka i po zakończeniu mojego meldunku stawia mnie na baczność i bije po twarzy i żołądku. Całą siłą woli wstrzymałem się od tego, by nie rzucić się na niego i nie oddać mu. Rozpłakałem się z wściekłości i bezsilności. Przyrzekłem sobie wtedy, że po wojnie, żebym miał całe życie go szukać, muszę go znaleźć. Został rozpoznany i zatrzymany przez innych kolegów, a ja nie mogłem nawet być na jego rozprawie.

Podobny wypadek spotkał mnie ze strony Bauführera, który został przeniesiony z Oświęcimia. Z końcem stycznia 1945 r. skrupulatność i organizacja niemiecka zaczęła w obozie po prostu brać w łeb. Zagęszczenie na blokach, gdzie stany normalne były potrojo-

ne, spały po trzy osoby w łóżku szerokim na 70 centymetrów. W obozie oświęcimskim spano na betonie i gołej ziemi w niewykończonych blokach.

Front zbliżał się do Gross-Rosen. Wyszedłem z grupą ludzi do pracy na Industriebhof do warsztatu cieśli i mieliśmy zakładać style do łopat. Tych łopat i styli były stosy przywiezione na Industriebhof. Były tam nazwożone różne rzeczy z magazynów Oświęcimia. Były tam też w workach płatki owsiane. Koledzy zamiast pracować, „zorganizowali” tych płatków i gotowali w warsztacie. Na to wszystko wchodzi Bauführer, więc jak krzyczę „Achtung” i melduję, że grupa cieśli przy kompletowaniu łopat. Ten bierze jeden styl i pyta, dlaczego cyganię, bo nikt nie robi i uderzył mnie tym stylem przez ramię trzykrotnie, aż się złamał. Złamanym końcem, gdy ja się cofałem, rozciął mi rękę. Powiedziałem mu, że karać mnie ma prawo tylko komendant lagru, a nie on. Rozwścieczony chciał mnie jeszcze bić, ale ja wybiegłem na pole i uciekłem do obozu. Usiłował mnie złapać Eryk Lipiński, ale chwyciłem kamień, i zrezygnował.

Po południu poszedłem do lekarza, dostałem tzw. szonungblok i do pracy więcej nie poszedłem, aż do ewakuacji. Tak zakończyłem karierę budowniczego obozu KL Gross-Rosen. Warunki pracy, jakkolwiek ciężkie, w komandzie Zimmermann były jednak o wiele lepsze niż w innych komandach. Ważne było to, że praca więcej była pod dachem i nie były tak przykre te zmienne warunki atmosferyczne.

Przez komando Zimmermann przewinęło się setki ludzi. Zostali najwytrwalsi. Wielu kolegów zginęło już na progu wolności, bo w okresie ewakuacji. Przeżyli długie lata cierpień i upodlenia, i zginęli kiedy wolność była już tak bliska. Wojciech Szymański zmarł już po wyzwoleniu obozu Leitmeritz, umarł z wycieńczenia i nie uratował go nawet szpital.

Cały obóz wybudowany był rękami więźniów z komanda Zimmermann, a było tych budowli dużo, około 70 baraków, w tym wiele podpiwniczonych, do których należało sporządzić szalunki na całą powierzchnię. Budowane były bunkry i piwnice. Cały teren obozu przesiąknięty jest krwią więźniów, którym odebrano życie podczas jego budowy.

Ziemia ta jest jedną mogiłą – cmentarzem, na którym winny być zasadzone czerwone róże. Te nieudolnie opisane własne przeżycia w komandzie cieśli, nie odzwierciedlają absolutnie atmosfery jaka panowała w obozie. Człowiek pozbawiony nawet swego nazwiska, nie miał prawa do własnej godności. Tylko ludzie silnego charakteru potrafili zachować człowieczeństwo. Ludzie słabi łamali się, upodobniali się do hien, by tylko przetrwać, bez względu jakim i czyim kosztem. Ci stawali się bestiami w ludzkiej postaci, mordowali swych współtowarzyszy na równi z esmanami, w sposób wyrafinowany i nieludzki, bez żadnych usprawie-

dliwiających przyczyn. Mordowali ludzi bez przerwy, przez całe 24 godziny; mordowano w bloku przy pobudce, przy sprzątanii, przy śniadaniu, na apelu i w pracy, po powrocie z pracy i podczas snu.

Nie było ani jednej godziny pewnej, czy śmierć człowieka nie spotka. Zachowanie w tych warunkach godności człowieka i etyki obowiązującej wśród ludzi było już pewnym wycyzymem. Należy więc poważnie zastanowić się przy osądzeniu wielu więźniów, którym zarzucamy sadyzm i demoralizację. Ilu z nich było do tego już predestynowanych, a ilu stoczyło się na te pozycje w wyniku panujących warunków. Wielu z nich, gdyby nie stworzone przez oprawców z trupimi główkami nieludzkie warunki, byłoby szanowanymi obywatelami i dobrotliwymi ojcami. Ich degeneracja obciąża również reżim faszystowski Trzeciej Rzeszy.

Zabrakło im poczucia odpowiedzialności za swoje czyny i silnej woli zachowania godności istoty rozumnej – człowieka. Chcieli za wszelką cenę przeżyć i to w możliwie wygodnych warunkach. Zapomnieli, że za swoje czyny zmuszeni będą odpowiedzieć. Tak postępowali ludzie słabego charakteru. Wyliczenie tych osobników utworzyłoby długą listę nazwisk. Ograniczę się tylko do niektórych, tych, których zapamiętałem szczególnie.

Byli to: Schali Pikiel, pierwszy, z którym zetknęliśmy się w obozie Lagerälester Karl Kirchman, Georg Pryl, najgorsza hiena, zajmował szereg funkcji – rewirkapo, blokowy, a w końcu Lagerälester, Mauer, Reinhold, blokowy Osi Weks, Emil Radke, Emil Szwarz, Willi Melone, Hary Hintz, Peter Wilms oraz blokowy bloku 19 Kurt Vogel. Ten arcyłotr ma na swoim rachunku wymordowanie setek więźniów, którzy przeszli przez Sonderkommando, prześcigał wszystkich zbrodniarzy, nawet takich jak Georg Pryl, który mordował w najwyszukańszy sposób. Z kapów wymienić należy jeszcze Oberkapo Bauleitung Augusta Sneidera – postać goryla, zabijał siedząc, ponieważ tłuszcz utrudniał mu poruszanie, Hary Lipinski kapo Schachtkollone, mówiący po polsku i po rosyjsku, mordujący z zimną krwią.

Kapo Kaczyska ma na sumieniu więźniów radzieckich. Był tam blokowym, dokąd nie wyginęli, potem był kapo i mordował w pracy. Kapo Newald w komandzie Schachtkollone zabijał po to, by zjeść śniadanie więźniów, jego komando musiało być co miesiąc odnawiane, ponieważ nie miał kogo wyprowadzić za bramę. Maks Weiss, z dziurą w czole zwany cyklopem, Gajko – kapo murarzy, Georg Klaus Komishaus – kapo ogrodnictwa.

W kamieniołomach Bernard Mikolajczak, Fritz Ditrich, Hans Gruss, Willi Gruteser, Fryc Miller. Są to nazwiska tylko niektórych, była ich cała strofa. Byli to psychopaci, zbrodniecy, dla których mord stanowił zabawę. Byli jednak pod ochroną SS i uchodziło im to bezkarnie.

Spośród Polaków, którzy usiłovali im dorównać, wymienić należy: Mieczysława Kurlę, Alojzego Książkiewicza – blokowy bloku 5, Mariana Soję, Władysława Nochowica – blok 8, Matuszkowiaka zwanego Bambula, Mariana Torza z Poznania, Marka Michorowskiego, Martynowskiego z Warszawy. Ludzie ci znęcali się nad współwięźniami w sposób okrutny bez uzasadnionej potrzeby.

Już od samej pobudki, która odbywała się na głos gongu z placu apelowego o godz. 5 rano, więzień był narażony na niebezpieczeństwo utraty zdrowia lub nawet życia. Takie ustawianie odbywało się w pośpiechu, w olbrzymiej ciasnocie, i poganianiu.

[...] Trzeba zasłać łóżka na trzech poziomach w ten sposób, żeby kant od zewnętrznej strony łóżka był ostry, a płaszczyzna łóżek pozostawała idealnie równa do płaszczyzny pozostałych łóżek na tym samym poziomie. W łóżku znajdował się papierowy siennik i trochę startych wiórów drzewnych, i z tego należy sporządzić łóżko o wyglądzie pudełka. Łóżka codziennie były sprawdzane przez Blockführera i jeżeli stwierdził, że źle posłane – ćwiczenia dla całego bloku, a więc już za niewykonanie tego we właściwy sposób zbierało się bicie i szykany. Jeżeli człowiek zdrowy, to jeszcze poradził sobie. A jeżeli niedołączny, wygłodzony, chory to nie i podpadał. Słanie kolejno, góra, środek i dół, żeby nie zanieczyszczać łóżek, trzeba się było śpieszyć na górze, bo na dole czekali ze słaniem. Na dole trzeba się było śpieszyć, bo wyganiali z sali, bo trzeba szybko zamiatać i ścierać kurze. Blockführer to sprawdzał, czy koce lub podłoga nie zaprószone, szukał powodu do znęcania się, a więc ciągle napięcie nerwowe, ciągle poganianie.

I znowu szybko bez koszuli, tylko w spodniach, mycie w zimnej wodzie, wszystko w szalonym tempie przy poganianiu i biciu przez blokowych gdzie popadnie. Początkowo przy korycie napełnionym wodą myło się kilkuset ludzi. Ludzie chorzy, owrzodzeni, z ropiejącymi ranami, szkielety obleczone skórą, tłum wokół koryta, przepychanie zgiełk, wpadał blokowy lub sztubowy i biciem usiłował uciszyć, powodując jeszcze większe zamieszanie, bo bici uciekali, tratując drugich.

Następnie rozdanie kawy, każdy bierze miskę z kawą i wychodzi przed blok, tam wypija i myje miskę, do czasu aż nie była zaprowadzona bieżąca woda, każdy w tej samej wodzie. W bloku wyznaczeni dyżurni robią porządek. Dyżur tygodniowy stołami. [...] Czystość w bloku musiała być zachowana idealna. To nic, że myć się trzeba było w wodzie pełnej najrozmaitszych zarazków, że naczynie myto w brudnej wodzie, ale utrzymuje się „Ordnung und Sauber”.

W początkowym okresie, do 1944 r., przy drodze naprzeciw bloku 5 był wbity słup, a na nim zawieszony kawał szyny. Bicie w tę szynę było sygnałem do wstawania, apelu, zakończenia pracy oraz ciszy nocnej. W 1944 r. na placu apelowym wybudowano dzwonnice, a szynę zastąpił dzwon. Rolę dzwonnika pełnił goniec obozowy.

Jak wyglądał apel? W bloku pozostawali tylko ci, co sprząтали, czyścili wszystko na półtyśk, blokowy, sztabowi, sekretarz bloku. Pozostali, bez względu na pogodę, kręcili się koło bloku, stali pokuleni, siedzieli w kucki, a inni dogorywali na ziemi. Najgorsze były wiosenne i jesienne deszcze. Każdy wygłodzony, deszcz i zimno przenikało przez pasiak, aż do kości. Wychudzeni, szkielety pokryte skórą, bez żadnych mięśni czy podkładki tłuszczowej, marzli, usiłowali rozgrzewać się przez wzajemne tarcie plecami o plecy, względnie poruszanie rękami.

[...] Każdy ubrany w bieliznę obozową, szytą ze specjalnego materiału z jakiegoś tworzywa, bo nie z bawełny ani lnu, ubranie w pasy biało-niebieskie również z materiału cienkiego z domieszką wełny drzewnej, bo było bardzo słabe. Na zimę wydawano grubsze ubranie i płaszcz z takiego samego materiału, ale bez podszewki. Na nogach obuwie holenderskie z drzewa dłubane lub pantofle drewniane z przybitym kawałkiem tkaniny na palce i wyjątkowo niektórzy mieli drewniaki. Poruszenie się w tym obuwiu było nadzwyczaj uciążliwe. Żadnej innej odzieży nosić nie było wolno. Owszem nosili wszyscy funkcyjni, zwykły więzień był zabijany, jeżeli miał sweter, bo nie było mu wolno go nosić, więc jak ubrał to za to, a jak miał na przechowaniu w szafce, to po to był zbity, ażeby można było zabrać mu ten sweter, chyba że oddał kapo lub blokowemu, to nie miał z tym kłopotu. Toteż zimno i głód zbierało obfite ofiary. Odzież trzeba było ubierać niejednokrotnie mokrą, bo jak w poprzednim dniu padał deszcz, to przez noc nie zdążyła wyschnąć. Na noc ubrania i płaszcze musiały być poskładane na stołach w kostkę numerem do góry, a obuwie wyczyszczone, wymyte ustawiano parami pod stołem.

Wszyscy kręcili się wokół bloku, jedynie niektórzy usiłowali grupkami spacerować. To byli ci, którzy w jakiś sposób adaptowali się w obozie, mieli lepsze warunki pracy i możliwości „organizacji”. Byli to pracownicy warsztatów, którzy mieli możliwości lepszego ubrania. Niektóre grupy, jeszcze energiczniejsze, prowadziły dyskusję przeważnie o jedzeniu; o tym co jadał, co będzie jadał jak wróci i o tym, żeby dzisiaj chociaż jeden kartofel był w zupie. A szczytem marzeń każdego było sobie podjeść chociaż raz do syta, kartofli w łupinach. Kończyły się jednak marzenia, bo po sprzątnięciu bloku wewnątrz i wokół, blokowi zarządzali zbiórkę.



Należało więc ustawić się w pięć wyrównanych szeregów, na lewym skrzydle ustawiali się ci, co nie mogli ustać o własnych siłach, no i poukładani ci, którzy w nocy skończyli życie. Blokowy posprawdzał, czy wszyscy mają przyszyte wyraźnie numery, czy mają guziki, czy przypadkiem ktoś nie ubrał na siebie czegoś, co by go chroniło przed zimnem. Oczywiście w takim zbiorowisku ludzkim zawsze coś się znalazło, co dawało powód do bicia, a więc kilka osób musiało być codziennie pobitych przed apelem, żeby blokowy nie wychodził z wprawy. Późną jesienią i w zimie stało się tak godzinami, potem przychodził Blockführer i sprawdzał czystość, następnie komenda baczność, czapki zdjąć, na prawo patrz i blokowy meldował o stanie bloku, ilu jest żywych i ilu umarło.

Blockführer przeliczał kolejno po pięć i przy tym upatrywał sobie ofiary. Wystarczyło, żeby ktoś się poruszył lub nie spodobało mu się spojrzenie, by przypłacił to życiem. Taki łotr uderzeniem w twarz i żołądek przewracał więźnia, a potem kopał butami bez opamiętania. Po takim biciu rzadko udało się przeżyć, bo jeżeli nie ubił na miejscu, to poodbijał wnętrzności i więzień w krótkim czasie kończył życie.

Stojąc więc w szeregu nigdy nie było się pewnym, czy nie padnie się ofiarą. Niebezpiecznie było szczególnie w pierwszym szeregu, ale wyciągano ofiary i z następnych też. Kiedy już skończył się pastwić i przeliczył, odchodził a blokowy podawał komendę – czapki założyć i spocznij. Jeżeli zdjęcie czapki lub nałożenie nie wypadło równo, ktoś się spóźnił, to był maltretowany przez blokowego, a blok cały miał zapowiedzianą musztrę po wieczornym apelu. Następnie blokowy zawiadamiał, które numery mają się zgłosić do raportu karnego, którzy mają iść na Politische Abteilung oraz które numery po apelu nie mają iść do pracy, a mają zostać na zbiórce przy bramie. Najtragiczniejsze było usłyszeć, że numer ma zgłosić się po porannym czy wieczornym apelu na bramie. Ludzi tych więcej nie widzieliśmy, ponieważ po wymarszu komand do pracy, więźniowie ci byli prowadzeni do krematorium i tam straceni. Uśmiercanie odbywało się w ten sposób, że więzień otrzymywał zastrzyk z fenolu lub benzyne i przechodził do drugiej sali, i tam się kończył, względnie obok krematorium była zrobiona strzelnica, gdzie zabijano bronią małokalibrową. Rzadko był dzień, by nie wyczytywano numerów po kilka, a nawet kilkanaście.

Zdarzały się również wypadki, że z wyznaczonych na stawienie się przy bramie wychodził ktoś na wolność, takich wypadków od 1942 do 1945 roku było zaledwie kilka.

Po tych zawiadomieniach każdy blokowy prowadził swoich ludzi na Appelplatz, gdzie ustawiano kolejno numerami bloków. Na Appelplatz przychodził Lagerführer, w otoczeniu Arbeitsdinstführera, Rapportführera i innych esmanów. Tam Blockführerzy sprawdzali jesz-

cze raz swoje bloki i składali meldunki do Rapportführera. Kiedy po zliczeniu bloków i rewirów stan się zgadzał, padała komenda: całość bacznosc – Mütze ab – Augen links, rechts i Rapportführer meldował Lagerführerowi stan obozu w określonym czasie. Po złożeniu meldunku podawał komendę: Mütze auf – alles seine kommando angetreten. Wszyscy „zdolni” do pracy stawali do komand, do których byli wyznaczeni. Na placu pozostawali tylko chorzy i nieżywi. Chorych sztubowy prowadził na rewir, a tam jak miał chory powyżej 39 stopni gorączki, to zostawał umierać na rewirze, a bez gorączki dostali jeszcze lanie i szli do pracy na terenie obozu. Nieżywym spisano numery i noszowi odnieśli ich do krematorium. W blokach pozostali tylko blokowi i sztubowi, ponieważ w ciągu dnia bywała kontrola czystości bloków, przeprowadzana przez Lagerführera. Blokowi i sztubowi brani byli do pomocy przy przyjmowaniu świeżych transportów lub przy wysyłaniu transportów.

W dniu, kiedy z rana była duża mgła, komanda robocze nie wychodziły poza obóz z uwagi na niebezpieczeństwo ucieczki. Po apelu więc stali wszyscy na placu, aż mgła opadnie, a z więźniami, żeby im się nie nudziło, prowadzono ćwiczenia.

Do pracy wychodziły pierwsze komanda z kamieniołomów, a następnie komanda Bauleitungu. Przy bramie obozu ustawieni byli Blockführerzy, a za bramą esmani, którzy przejmowali komanda wychodzące poza linię postenkiety.

W czasie przejścia przez bramę należało przed stojącymi czapki zdjąć i krokiem defiladowym przemaszerować. Ponieważ ludzie wycieńczeni nie mogli podnosić nóg obutych w holendry lub pantofle, bo to wszystko spadało przecież, więc była to defilada żałosna. Ludzie wycieńczeni ledwie powłóczyli nogami, ciągnąc po ziemi obuwie. Powodowało to, że w czasie przemarszu tumany kurzu unosiły się za kolumnami. Wymyślono więc sposób, aby tego uniknąć, polecono wymaszerowywać z obozu boso, a dopiero 50 metrów za bramą należało obuwie założyć, to samo było i w czasie wejścia do obozu. Była to dodatkowa szykana, ponieważ ostre kamienie raniły nogi.

W końcu 1942 r. tak wejście, jak i wyjście z obozu w każdą sobotę i niedzielę odbywało się w takt orkiestry obozowej.

Po przybyciu na miejsce pracy każdy zabierał swoje narzędzia i szedł na wyznaczone przez Vorarbeitera stanowisko. Olbrzymia większość więźniów pracowała na powietrzu, tak w kamieniołomach, jak i Bauleitungu. Przy uzyskiwaniu kamienia praca była ciężka, ładowano go na wagony kolejki powietrznej, na tak zwane lory i dostarczano do obróbki. W kamieniołomach jedynie Steinmetzen pracowali pod dachem.

Budowa dróg prowadzona przez prywatną firmę Urbansky, w której byli zatrudnieni sami więźniowie i jeden majster cywilny, pochłonęła setki istnień ludzkich. Stan w tym komandzie zmieniał się co miesiąc, podobnie jak w komandzie Schachtkollone. Pracujący tam kolega Aleksander Pich, technik drogowy, przyjechał transportem oświęcimskim w czerwcu 1942 r., a już we wrześniu wyjechał do Dachau jako kompletny muzulman.

Już od samego rana w miejscach pracy rozpoczynało się piekło, kapowie, Vorarbeiterzy krzyczeli i bili. Więźniowie, nawet bici, rzadko krzyczeli, słycać było jedynie jęki, umierali w milczeniu. Na głos gongu o godz. 12 przerywano pracę, robiono zbiórkę komand i maszerowano do obozu. W komandach musiały być stany pełne, a jeżeli się trafiło, że ktoś się gdzieś ukrył w czasie pracy, aby się zdrzemnąć, a zasnął i nie słyszał gongu, całe komando musiało go szybko szukać, żeby nie spadły na wszystkich represje, a na niego za usiłowanie ucieczki. Zazwyczaj taki delikwent spał smacznie w jakimś kącie za pakami czy stosami innych materiałów, śniąc o jedzeniu, a był o krok od śmierci. Skończyło się na mordobiciu i paru kopniakach, ale gdyby go nie znaleziono na czas byłby z nim koniec. Należało zabrać ze sobą tych wszystkich, którzy podczas pracy stali się niezdolnymi, żeby wrócić do obozu. Część już nie żyła, zaś bardzo liczni jeszcze żywi, ale już niezdolni do żadnej reakcji. Maszerujący na końcu kolumny musieli więc nieść te ofiary bestialstwa do obozu. Był to widok straszny. Dwóch ludzi – szkielety – ledwo powłóczący nogami, brało ofiarę tych bestii za ręce pod pachami, głową do przodu, a jeden z tyłu zakładał sobie nogi ofiary pod pachy. Przy takim niesieniu odzież górna, jak koszula i marynarka, ściągnęła się na głowę, a spodnie i bielizna – do stóp, wygięta ofiara gołym brzuchem wleczona była omal po ziemi. Takie ofiary były noszone przez prawie wszystkie komanda.

Najwięcej takich przypadków wynoszono z Schachtkollone od kapo Newalda, Lipińskiego oraz z kamieniołomów. Widok tych ofiar utkwił mi najbardziej w pamięci. Wystarczyło to tylko zobaczyć, by mieć rozeznanie o okrucieństwie jakie panowało w obozie.

Po przejściu bramy każdy udawał się do swojego bloku. Do bloku nie wolno było wchodzić, żeby nie pobrudzić, więc jedzenie wydawane było na polu. Każdy otrzymał miskę i podchodził z nią do kotła. Zimą dostawał  $\frac{3}{4}$  litra zupy z brukwi, z niewielką zawartością ziemniaków, maszczoną margaryną. Na kocioł 500-litrowy dawano 2 kg margaryny, ale nim zdążyła się rozpuścić w kotle, to inni zdążyli ją wyjąć. Zupy te były gotowane na kościach końskich. Pół konia na obiad na kilka tysięcy więźniów. Gorzej było w lecie, ponieważ już od wczesnej wiosny, w obawie o nasze zdrowie, karmiono nas jarzyną. Uważano, że najpożywniejszy i dobry do gotowania jest szpinak, toteż był stosowany prawie całe lato aż do jesieni.

Ten szpinak nie był smażony z jajkiem. Ten szpinak był wrywany nawet z korzeniami, zlany wodą na stercie, co miało zastąpić płukanie, następnie wrzucony do kotła, posolony, pomaszczony margaryną i danie gotowe. Miał tę złą stronę, że był trudny do podziału i jedzenia. Z kotła za chochlą ciągnął się, a jak próbowało się nabierać łyżką z miski, to całość podnosiła się za łyżką. W jesieni dania były bardziej urozmaicone, bo były liście buraczane, jarmuż, kapusta pastewna. Taki obiad zjadało się piorunem, żeby jeszcze wyskoczyć gdzieś na inny blok, a może ktoś da drugą taką porcję. Takich porcji niektórzy zjadali po pięć. Następnie szybko mycie misek i zbiórka na apel. Oczywiście nie odbywało się to w spokoju. To wszystko działo się przy nieustannych wrzaskach i biciu, bo pchali się do kotła, bo drugi raz stanął do kotła po zupę, bo jeden drugiemu zabrał miskę itd. W okresie zimowym na obiad dostawaliśmy codziennie zupę z brukwi. Brukiew posiekana na drobno, namoczona w wodzie, żeby się szybciej ugotowała, następnie gotowana w kotle i maszczona margaryną. Zapach tej zupy wywoływał mdłości. Ci co przyszli do obozu z wolności nie wygłodzeni, na sam zapach dostawali z początku torsji. Z czasem przyzwyczajali się i zjadali po trzy, cztery miski. W 1942 r. z doktorem Józefem Frączkiem zjedliśmy raz wspólnie 5 misek takiej zupy. Często zupa ta nie była solona, a wtedy smak miała obrzydliwy. Głód jest jednak najlepszym kucharzem, więc i tak była zjedzona.

Przerwa południowa trwała godzinę, należało więc się śpieszyć, bo zaraz był apel południowy. Wymarsz więc na plac apelowy, przeliczenie stanu i wymarsz komand do pracy, obojętnie, czy deszcz czy pogoda, mróz czy śnieg. Dla więźniów nie było spoczynku, obojętnie w jakich warunkach atmosferycznych, wciąż słyhać krzyki – Los! Los! Bewegung schnelle, schnelle.

Po obiedzie Blockführerzy gremialnie wychodzili do pracujących komand roboczych, by czuwać nad wydajnością pracy więźniów, no i przy tym znęcać się nad nimi, by możliwie najwięcej zniszczyć. Rozpoczynało się ogłupiające tempo pracy, pracy niejednokrotnie nikomu na nic nieprzydatnej. Zjedzony obiad absolutnie nie zaspokoił głodu, a raczej pobudził żołądek do pracy, każdy odczuwał głód tym intensywniej. Toteż w grupach roboczych rozpoczynano przede wszystkim rozmowy na temat jedzenia, co jeszcze bardziej pobudzało apetyt i głód, i mniej zwracano uwagę na pracę oraz co się wokół dzieje, co w konsekwencji powodowało, że wielu więźniów podpadło i znowu krzyki, bicie i zamęt, i tak aż do wieczora.

Sytuacja na frontach miała poważny wpływ na nastroje panujące w obozie. Każda większa klęska poniesiona na frontach odbijała się na więźniach. SS-mani mścili się na więźniach w czasie pracy, jak też i po powrocie do obozu. Rozwścieczeni niepowodzeniem dawali upust

swej bezsilności na bezbronnych i pozbawionych wszelkich praw więźniach, mimo że po klęsce stalingradzkiej władze zwierzchnie z Centrali postanowiły złagodzić kurs, by z uwagi na potrzeby siły roboczej, zahamować masową śmiertelność więźniów, którzy mieli zastąpić powołanych na front Niemców. Przyzwyczajenie mordowania brało jednak górę nad względami ekonomicznymi.

Klęska stalingradzka, w której wyeliminowano z armii niemieckiej 300 tys. ludzi, musiała spowodować zakłócenia nie tylko w armii, ale i w życiu gospodarczym. Trzeba było uzupełnić nie tylko liczbę ludzi, ale również wyposażenie w sprzęt bojowy. Tych ludzi trzeba było oderwać z przemysłu i rolnictwa, a w ich miejsce obsadzać inną siłę roboczą. Należało więc tę siłę roboczą szanować, tego wymagał zwykły ludzki rozsądek. Tego jednak w swym zaślepieniu i żądzy mordy nie rozumieli żołdacy z trupimi czaszkami. Kurs wyniszczenia w obozie centralnym Gross-Rosen istniał do samego końca. Do końca trwania obozu przy każdym powrocie z pracy wnoszono dziesiątki pomordowanych przez kapów i esmanów. Ofiary te nazywane były przez załogę obozową ironicznie „Sturzbomben”.

Wieści o klęskach na frontach powodowały odwrotne działanie na nastroje więźniów. Nadzieje na przetrwanie wzrastały, a jeżeli i te nadzieje były bardzo znikome, lub ich wcale nie miano, to przynajmniej było już pewne, że Niemcy już wnet muszą ponieść zasłużoną karę, i to karę surową, którą zapamiętają pokolenia Niemców. Te nadzieje były pewną rekompensatą za poniesione cierpienia.

[...] Wracające do obozu komanda robocze były witane przez orkiestrę. Często niektóre komanda były wyciągane z kolumny i poddawane rewizji, czy nie przenoszą czegoś do obozu, szczególnie Banchofkommando, które pracowało na stacji kolejowej Gross-Rosen przy rozładunku i załadunku wagonów kolejowych i mogli mieć styczność z ludnością cywilną. Znalezienie czegoś u więźnia, co wskazywało na pochodzenie z zewnątrz obozu karane było chłostą i wcieleniem do karnej kompanii, czyli przeniesienie do bloku 19, gdzie blokowym był Kurt Vogel. Dostanie się na blok 19 równało się prawie wyrokowi śmierci. Samo powiedzenie więźniowi, że pójdzie na blok 19 budziło zgrozę. Rewizji podlegały komanda pracujące w magazynach, warsztatach, kelnerzy SS-kantyny, obsługi baraków esmańskich i innych pracujących poza obozem. Mimo tych rewizji do obozu szmuglowano wszystko to, czego nie można było dostać w obozie. Szmuglowano jedzenie „organizowane” z zapasów SS, odzież, obuwie, lekarstwa, papierosy, no i alkohol.

Pamiętam, że podczas budowy SS-kantyny przywieziono samochodem papierosy. Do rozładunku tego samochodu zapędzono ludzi z komanda cieśli, wśród których i ja byłem.

Podczas rozładunku „zorganizowaliśmy” 12 tys. papierosów „Juno”. Po prostu jeden karton został zanieiony zamiast do magazynu, do dołka obok magazynu. Papierosy te zostały dostarczone do obozu, mimo wielkiego ryzyka w wypadku przyłapania.

Przeprowadzano również rewizję podczas wyjścia z obozu, czy czegoś nie wynosi się na zewnątrz, czy przypadkiem ktoś nie ma za wiele odzieży na sobie. Biada takiemu, u którego zostało coś znalezione. Jeżeli znaleziono bieliznę lub dodatkowe ubranie cywilne, przenoszone na handel wymienny, taki więzień był posądzony o usiłowanie ucieczki i szedł na blok 19.

W okresie jesiennych słoń, w zimie, jak również i na wiosnę, więźniowie dla zabezpieczenia się częściowo przed chłodem ubierali na siebie papierowe worki z cementu. Taki worek rozdarty po bokach oraz z wyrwanym otworem na głowę ubierany był jak kapa kościelna, a na to ubierana była bluza. Znalezienie takiego worka na więźniu kończyło się tragicznie, stawał się on ofiarą nie tylko Rapportführera Eschnera, ale i Blockführerów, a następnie blokowego lub kapo. Najczęściej zбитy po kilku dniach kończył żywot. Chciał się uratować przed zaziębieniem, to wykończyli go biciem. Mimo tych nieludzkich metod, więźniowie taką samoobronę przed zimnem stosowali stale. Wynoszono również z obozu ubrania, obuwie, bieliznę oraz wartościowe przedmioty. Wynoszono rzeczy cywilne pochodzące od ofiar, które przybyły do obozu i tam im je odebrano, a zostały one „zorganizowane” przez więźniów pracujących przy przyjęciu zugańgów (nowe transporty) z wolności; oczywiście wielkim ryzykiem było przemykanie różnych przedmiotów. Ale tylko ryzyko i ofiarność niektórych więźniów, ratowała życie innym więźniom. Wiele z tych rzeczy wynoszonych poza obóz służyło do zaspokojenia zachcianek bonzów obozowych, w szczególności alkohol, wiele też zostało wysłanych do rodzin różnych prominentów. Ale wiele przenoszono do obozu, by pomagać innym przez dostarczenie ciepłej bielizny, obuwia, a także lekarstw do rewiru.

Przybycie do obozu po zakończeniu dnia pracy, nie kończyło udręki i nie dawało wytchnienia. Po przekroczeniu bramy obozu i po komendzie: „Alles seine block angetreten”, każdy szybko musiał biec na miejsce zbiórki swojego bloku i tam stawać w pięcioszeregu i oczekiwać aż cały obóz (poza rewirem) stanie na zbiórce. Kiedy wszystkie komanda w całości stawiły się na placu apelowym i przeliczone przez blokowych i Blockführerów bloki miały zgodne stany ewidencyjne, odbywał się apel wieczorny, który w zasadzie odbierał sam Legerführer. Po odbiorze apelu przez Lagerführera, nadawano różne komunikaty i ostrzeżenia, które były tłumaczone przez tłumaczy na różne języki i podawane do wiadomości wszystkim więźniom.

Podawano więc, że wyrokiem sądu w Berlinie, za usiłowanie ucieczki został to taki a taki więzień skazany na śmierć przez powieszenie. Podawano również kto i za co został ukarany chłostą, która zostanie wykonana publicznie. Wyroki takie zawsze wykonywane były po wieczornym apelu. Na placu apelowym szubienica stała w pogotowiu. Skazańca zawsze przyprawdzał blokowy Kurt Vogel i stawiał pod szubienicą. Tam Lagerführer, w asyście Blockführerów odczytywał wyrok śmierci. Po odczytaniu wyroku, skazańca, ze skutymi rękami, wprowadzano na taboret. Kapo krematorium zakładał skazańcowi pętlę na szyję, a następnie wrywał taboret spod nóg. Po pewnej chwili lekarz SS stwierdzał zgon i dopiero wtedy następowała komenda – blokami do bloków odmaszerować.

Kiedy indziej znów odbywała się chłosta. Na plac apelowy, gdzie stała cała świta obozowa, przynoszono kozioł drewniany o specjalnej konstrukcji przystosowanej do egzekwowania kary chłosty. Taki kozioł to stół wyłobiony o długości 1 metra, na który kładziono skazanego plecami do góry a nogi były zamknięte pod stołem czymś w rodzaju średniowiecznych dyb. Taki delikwent wyciągnięty na tym stole miał unieruchomione nogi i trzymany z przodu za ręce był bity przez dwóch oprawców, musiał przy tym liczyć uderzenia. W wypadku, gdy się pomylił, bicie rozpoczynano od nowa. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś mógł doliczyć do końca, pierwszej zemdłał nim zdążył doliczyć do 25 lub 50 uderzeń. Po egzekucji zabierano skazańca na rewir. Takie egzekucje odbywały się raz w tygodniu. Oczywiście na te tortury musiał patrzeć cały obóz, co miało spowodować odstraszenie od popełniania przewinień. Karę chłosty mógł zastosować tylko komendant obozu. Niżsi oprawcy nie bawili się w chłostę, ani w wyczytywanie wyroków, mordowali bezpardonowo gdzie popadło.

Blockführer Jerzak na lagerstrasse, naprzeciw bloku 5, w czasie apelu na oczach więźniów z kilku bloków, zamordował Polaka w sposób bardziej wyrafinowany. Najpierw uderzeniami w głowę i żołądek powalił go na ziemię, następnie skopał go po twarzy i po klatce piersiowej do krwi, a następnie położył mu styl od łopaty na krtani i tak kołyszając się na tym stylu udusił tego więźnia. Działo się to na oczach kilkuset więźniów. Taki system mordowania stosowany był przez wielu, ale czynili to w mniejszym gronie; tak mordował Eschner, tak mordował uśmiechnięty Bartsch. Ten Jerzak to degenerat pochodzący ze Śląska, zamordował więźnia, ponieważ ten nie zdjął dość wcześnie przed nim czapki.

Po zakończeniu apelu blokowi odprowadzili swoich ludzi do bloków na kolację. Kolacja to najważniejszy posiłek z całego dnia. Otrzymywało się pajdkę chleba o wadze około 300 g, 2 dkg margaryny, no i 3 razy w tygodniu po 3–4 dkg końskiej kiełbasy lub pasztetówki oraz

pół litra zupy avo lub z brukwi, albo też, jak była kiełbasa, pół litra kawy. Chleb był wydawany na stoły i stołowi zajmowali się podziałem. Takie dzielenie chleba, to sprawa mocno skomplikowana. Każdy bochenek trzeba podzielić na cztery równe części, tu w grę wchodziła każda kruszyna chleba. Osiem par oczu patrzy nie odrywając wzroku i po prostu oczyma już pożera ją ten chleb. Dlatego stołowy nie był w stanie podzielić chleba dla wszystkich, dawał więc chleb na czterech, a ci już między sobą dzielili, ważąc skrupulatnie każdą cząstkę.

Niektórzy chleb ten zjedli łączywie natychmiast, inni krajali na drobne kaski i delektowali się nim, by jak najdłużej mieć złudzenie posiłku, a jeszcze inni chowali ten chleb za koszulę i dopiero w nocy żuli w łóżku. Mało było takich, którzy dzielili porcję na dwie części, żeby zachować połowę na śniadanie. Raz, że było to ryzyko, że w nocy ktoś ten chleb ukradnie, jak też i pokusa była prawie nie do pokonania, leżąc z pustym żołądkiem, który ssie oraz z myślą, że jest przecież kawałek chleba, który można zjeść. Nie, to jest zbyt wielkie wyrzeczenie, przechodzące ludzką możliwość.

Po kolacji był jakiś czas wolny, nim wszyscy zjedli, odniesiono kotły, dyżurni pomyli naczynie, posprzątało w sali jadalnej, reszta znajdowała się w tym czasie poza blokiem. Dużo wtedy szło na giełdę, która odbywała się na placu między blokiem 4 a 5, później od 1943 r. między blokiem 5 a 6, obok basenu. Na giełdzie szedł handel wymienny. Wymieniano porcje margaryny za kęsek chleba lub porcję kiełbasy za pół porcji chleba, lub za porcję zupy obiadowej. Sprzedawano chleb za papierosy lub za marki. Na giełdzie można było nabyć większość potrzebnych więźniowi rzeczy. Tam kupował czapkę jak mu jego zginęła, tam kupował buty jak mu skradli, tam można było nabyć i smalec pochodzenia krematoryjnego, a nawet i mięso nie wiadomo z czego. Oczywiście sprzedawane buty czy inne części garderoby pochodziły z kradzieży współwięźniowi, no i taka kradzież jednemu powodowała reakcję łańcuchową. Dlatego też giełda była ścigana przez samorząd obozowy i przyłapanie na handlu było surowo karane przez Lagerältestera, jak też i przez blokowych. Handlem zajmowały się same indywidua, które chciały ratować się za wszelką cenę, sami szalbierzy i złodziejaszki, którzy umieli przy zakupie pokazywać marki, a kiedy sprzedający po transakcji sprawdzał te marki, to okazało się, że ma kawałek gazety.

Po sprzątnięciu bloku każdy więzień musiał doprowadzić do porządku swoją garderobę. Wyczyścić ubranie, wyczyścić numer, żeby był widoczny, pozeszywać co porwane, obuwie wymyć i nasmarować oliwą. Następnie rozebrać się, umyć i z koszulą w rękach wchodził boso do sypialni. Przy drzwiach sypialni na taborecie siedział któryś ze służalców blokowego, jak cerber pilnujący wejścia do sypialni, który sprawdzał, czy więzień nie posiada wszy. Taki cer-



ber uzbrojony był w 500-watową żarówkę i szukał wszy, a więc pochylenie głowy wystrzyżonej i przegładnięcie, następnie podniesienie najpierw jednej, a później drugiej ręki do góry i sprawdzenie pod pachami, następnie stanąć w rozkroku i przeszukanie w pachwinach, odwrócenie się i pochylenie, przejrzanie odbytnicy. Nie obyło się przy tym, by dla zabawy nie przypiec gorącą żarówką. Następnie przegląd koszuli, a więc trzeba było pokazać wszystkie szwy, czy nie ma w nich wszy lub jajek. Znalezienie wszy lub jajek u któregoś z więźniów było wielkim przestępstwem, więc taki więzień był znowu maltretowany, bity jakby co najmniej usiłował podpalić blok.

To nic, że bielizna była zmieniana dwa razy w miesiącu, i że wracała z pralni pełna gnid, to nic, że w łóżku znajdowało się w papierowym sienniku trochę zbitej w kłęby i startej wełny drzewnej, że za każdą nitką koca było pełno pcheł, aż tym kocem ruszały, że rano człowiek wstawał cały jak sito pogryziony przez pchły, ale w obozie obowiązywało „ordnung und sauber muss sein”. Stali więc więźniowie w kolejce do odwszawiania, aż do dzwonka sygnalizującego gaszenie światła i nocną ciszę.

Gorzej było, jak podczas takiego odwszawiania spotkano więźnia, który wskutek mużułmaństwa\* nie był odpowiednio domyty. Wtedy takiego więźnia prowadzono do umywalni pod prysznic z zimną wodą i szczotkami na kiju szorowano go, aż mało żywy wychodził spod tej wody. Takie widoki były na porządku dziennym.

Głód powodował, że ludzie jedli co popadło, różne zielska i odpady, co powodowało choroby żołądka, biegunkę. Chorzy na biegunkę często nie mogli dolecieć do ustępu, więc zanieczyszczali bieliznę i siebie, nie było to jednak traktowane jako choroba, ale byli po prostu wyrzucani do ustępu i zmaltretowani przez wyżartych funkcyjnych blokowych tam kończyli życie.

To straszne, kiedy człowiek jeszcze żywy, na wolności zajmujący jakąś pozycję, mający rodzinę, która go kochała, konał opuszczony w ustępie, w wodzie i smrodzie i nikt mu nie mógł pomóc. Kiedy usiłowałem raz jeden pomóc takiemu nieszczęśliwemu, blokowy Karl Ebner pobił mnie i postawił w przysiadzie na taborecie, jednocześnie musiałem w wyciągniętych rękach trzymać przed sobą taboret za dwie nogi. Po dziesięciu minutach takiego trzymania pot zalewał mi oczy, a po pół godzinie spadłem z taboretu na podłogę zemdlony.

---

\* Muzułmanami nazywano ludzi, którzy wskutek kompletnego wyczerpania fizycznego, spowodowanego głodem, utracili całkowicie mięśnie, tak że organizm ich wycieńczony po prostu zamierał. Ludzie ci ruchy wykonywali powolnie, reakcja ich umysłu już zanikała, stawali się obojętni na wszystko.

Po drugim gongu ogłaszającym nocną ciszę, zapanowywał względny spokój, choć nie zawsze. Bywały noce, kiedy pijani Blockführerzy przychodzili do obozu urządzać sobie rozrywkę ćwiczeniami nocnymi. Wpadali wtedy żołdacy do sypialni i zrywali wszystkich z łóżek, musiało to odbyć się w tempie piorunującym. Jeżeli ktoś się nie zerwał i nie zeskoczył szybko na podłogę, wyprowadzali wszystkich z sali przed blok i tam w samej bieliźnie urządzali nam „sport”. Łóżka w sali były postawione po dwa w rzędzie, a między tymi rzędami odstęp 70 cm, łóżka trzypiętrowe, a więc takie zeskakiwanie z łóżek odbywało się bez namysłu. Skakał jeden drugiemu bez namysłu na głowę, ręce, plecy, jak popadło, następowały więc i złamania czy zwichnięcia kończyn oraz inne urazy. Po kilku powtórzeniach takich ćwiczeń, komenda: powstań, do łóżek marsz. Do rana już spania nie było, ponieważ poszkodowani jęczeli, trzeba było udzielać im pomocy. Nie było spokojnego dnia ani nocy.

Jak już poprzednio wspomniałem, nie ma takiego środka, który by mógł przedstawić dramat przeżywany w obozie. Tak film czy najbardziej faktyczny opis sporządzony przez doskonałego literata, będzie tylko pewną namiastką tragedii, jaką przeżywały setki tysięcy w obozie. Kto tam nie był, nie przeżył, nie zrozumie.

Jeżeli mówimy o bohaterstwie obrońców na Westerplatte, jeżeli czytamy o bohaterstwie na szosie Wołokołamskiej, to bohaterstwo przeżycia obozu i wyjścia z niego nie splamiwszy się żadnym czynem uwłaczającym godności człowieka jest większym bohaterstwem. Westerplatte broniło się przez 8 dni, obrońcy mieli do dyspozycji broń, którą mogli skutecznie wykorzystać aż do ostatniego naboju. Ich poświęcenie, ich siła woli walki wynikała z moralnego i patriotycznego obowiązku obrony ojczyzny. Mimo że beznadziejna to była walka, ale walka z bronią w ręku. W obozie, kiedy już się było, to trudno mówić o obronie ojczyzny, to tylko można filozoficznie udowadniać, że i tam się broniło ojczyzny, ale praktycznie to ta obrona była problematyczna.

W obozie tysiące ludzi było bezbronnych, nie będących w stanie fizycznie przeciwstawić się oprawcom i wystąpić przeciw nim. Stworzone warunki obozowe eliminowały taką możliwość, z uwagi na niedopuszczenie do zorganizowanego działania całości.

Spółczesność w obozie nie było jednolite, począwszy od podziału narodowościowego, gdzie przecież przebywali więźniowie ze wszystkich państw Europy, a nawet i spoza kontynentu europejskiego, występowały różnice socjalne, intelektualne, polityczne, różnice w grupach społecznych. Bezpośrednią pieczę nad tym konglomeratem ludzkim sprawowali Blockführerzy, ludzie o bardzo niskich instynktach, trudno tu nawet porównywać do zwie-

rzęcych, by nie obrazić tych ostatnich – bo nawet najbardziej drapieżne zwierzę, to tylko zabi-ja i pożera bez pastwienia się nad ofiarą, natomiast ci doprowadzali swoje ofiary najpierw do upodlenia, a potem głodem, biciem i ciężką pracą do śmierci.

Do pomocy w realizowaniu swego programu dobrali sobie całą sforę bandytów i przestępców pochodzenia niemieckiego, im powierzając rolę naszych wychowawców w blokach i w pracy. Wychowawcy ci i opiekunowie to zbrojeńcy i degeneraci, którzy przebywali w więzieniach już po kilka lat jako niebezpieczni dla otoczenia, ludzie wyzbyci wszelkich instynktów człowieczeństwa, ludzie opanowani żądzą mordy, delektujący się przewagą władzy i wykorzystujący tę władzę w sposób zgodny z ich charakterem.

Do tej grupy społecznej, jeżeli ją tak można nazwać, należało ponad stu kilkudziesięciu Niemców, sprawujących różne funkcje obozowe. A więc począwszy od Lagerältestera, którym byli: Schali, marynarz, złodziej, olbrzym dwumetrowej wysokości, następnie Karl Kirchman, bokser wagi ciężkiej, bandyta o wyglądzie goryla, zabijał ludzi jednym uderzeniem, Kaiser – przestępca kryminalny, Karl Ebner – przestępca wojskowy, Sznajder – bandyta, morderca setek więźniów w komandach Bauleitungu. Następni to blokowi, kapo, sztubowi, Vorarbeitery i cała sfera ich zastępców i innych zauszników.

Wszyscy ci funkcyjni realizowali program SS wyniszczenia społeczności obozowej poprzez okradanie ze środków żywnościowych, bezmyślne szykanowanie najwyszukańszymi środkami, w czasie wolnym od pracy i w pracy, oraz biciem i mordowaniem.

Drugie środowisko, które w jakiś sposób można było wyodrębnić to tak zwani promi-nenci obozowi. Środowisko to wyodrębniało się spośród szeregów więźniów tym, że ci więźniowie z racji swojej pracy lżejszej, bo w biurach obozu oraz komendantury lub barakach SS, oraz możliwości „organizacji” czegoś do zjedzenia, swoim wyglądem się różnili. Byli zawsze czysto ubrani, mieli dopasowane ubrania, no i fizycznie nie byli tak wyniszczeni. Do tych więźniów blokowi ani sztubowi nie mieli odwagi odnosić się tak, jak do pozostałych. Z nimi blokowi nawet musieli się liczyć, ponieważ niejednokrotnie musieli korzystać z ich usług w zaspokojeniu swoich potrzeb tak osobistych, jak też i służbowych. To byli pracownicy magazynów SS, kalifaktorzy, pracownicy kuchni, magazynów odzieżowych, pracownicy zatrudnieni w Effektenkammer przy przyjęciu zugańgów, pisarze obozowi.

Ci ludzie w bloku korzystali ze względnego spokoju, wolno im było pozostawać w bloku rano, w południe i wieczór, jak im się podobało. Wolno im było pójść i na inny blok do znajomych. Swoje rzeczy przechowywali w szafkach, posiłki spożywali przy stole, wielu z nich mia-

ło również swoich ordynansów, którzy za miskę zupy lub kawałek chleba słali im łóżka, czyścili buty, myli miski po jedzeniu i prali ubrania.

W tej grupie więźniów, oprócz Niemców, było również dużo Polaków i Czechów. To swoje stanowisko w bloku różnie, różni wykorzystywali. Jedni pomagali dzięki swoim wpływom pomocą żywnościową, pomocą w pisaniu listów po niemiecku do domów, odczytywali listy przychodzące, używali swoich wpływów i znajomości w załatwianiu różnych spraw pozostałym więźniom, współkolegom. Organizowali, w miarę możliwości, życie kulturalne i pomagali innym.

Byli natomiast też i tacy, którzy zapominali, że są w obozie koncentracyjnym i swoje stanowiska i uprzywilejowaną pozycję wykorzystywali dla celów samolubnych, pomiatając słabszymi, żyli niejednokrotnie w warunkach lepszych niż na wolności. Do nich nie docierały ani cierpienia innych, ani nie żywili żadnego współczucia dla pozostałych. Nie robili nic, żeby pomóc drugim bezinteresownie, ale też nie szkodzili.

Była jeszcze trzecia grupa, która swoje stanowisko wykorzystywała w sposób szkodliwy, wymagający napiętnowania. To ci, którzy słabszych nie brali w opiekę, ale znęcali się nad nimi i napuszczali jeszcze funkcyjnych.

Nie znaczy to, że prominenci mieli zapewniony powrót do domu i przeżycie w obozie. Tak samo ich los, jak i pozostałych, zależał od kaprysów SS z załogi obozowej. Dzisiaj był prominentem, jutro szedł do strafkompanii, a po kilku tygodniach wychodził z 19 bloku jako mużłman albo blokowy Vogel go wykończył, co najczęściej się zdarzało.

Następny typ więźnia to osobnik przedsiębiorczy, stale zagoniony za „organizacją”, stale handlujący – zamienia ubranie, bieliznę, buty, chleb, papierosy, porcję kiełbasy, margaryny, byle zarobić, byle osiągnąć jakiś zysk; ukradnie, ocygani, sprzedaje brukiew za kostkę margaryny, papierosy spreparowane tak, że z obu końców tytoń, a w środku trawa, wszędzie go pełno, na giełdzie w innym bloku idzie z miską kupić od kogoś miskę zupy czy ostatni kawałek chleba za papierosy. W końcu wpada na takim handlu, który był zabroniony, lub na kradzieży i odbierają mu zdrowie, ginie jak tysiące.

Najdłużej i najpewniej utrzymują się ci, którzy chcą przeżyć za wszelką cenę, którzy wyzbyli się wszystkiego co ludzkie, etyki, współczucia dla innych, zaprzędali się siepaczom z SS za miskę zupy, za kawałek chleba i mordują drugich, byle oni mogli żyć. Problem odpowiedzialności dla nich nie istnieje, oni nie myślą o przyszłości, byle mieć pełny żołądek i wyżywać się w nieograniczonej władzy nad słabszymi. Przez myśl im nie przechodzi, że może trzeba będzie kiedyś zdać z tego rachunek. I oni pomagają innym, a jakże mają na utrzymaniu pipla,

który spełnia dla nich rolę kochanki, otaczają go opieką, wolno mu robić co mu się podoba, a więc taki szczeniak 14-letni bije i kopie, wymyślając w najbrutalniejszych słowach więźniowi, który mógłby być jego dziadkiem, a nie tylko ojcem.

Utrzymują ordynansów dla siebie i dla swojej „kochanki” pipla, którzy złamani głodem zmuszeni są porzucić swoją godność osobistą i być lokajami, słać łóżka, czyścić im buty, podawać jedzenie i prać i czyścić im odzież. Za to dają im ochłap jedzenia, a od czasu do czasu za złe postanie łóżka czy źle wyczyszczone obuwie otrzymują wiązaną przekleństw i wyzwisk od muzułmanów oraz mordobicie. Oni się jednak czują szczęśliwi, ponieważ ich szanse na przetrwanie są większe niż tych, którzy skazani są wyłącznie na wyżywienie przydziałowe. Widziałem 13-letniego chłopca, który był na takim utrzymaniu jako pipel u jednego blokowego, który własnego ojca bił po twarzy i wymyślał mu od muzułmanów, dlaczego nie zdycha tylko chodzi za nim. Nie wiem co z tym chłopcem, czy przeżył, bo ojciec jego w niedługim czasie na skutek kompletnego wyczerpania umarł, a syn mu nie dopomógł, mimo że miał możliwość pomocy, gdyby chciał cokolwiek odmówić sobie. Jeżeli żyje to na pewno sumienie jego po nocach nie daje mu spać. A może rozgrzeszył siebie [...]. Takie sceny i taka moralność mogła tylko być w obozie koncentracyjnym. Takiego smarkacza nie można było naprowadzić na uczciwą drogę, ponieważ jak się poskarżył, to ta banda pederastów potrafiła każdego wykończyć.

Poważną liczbę w tym zbiorowisku ludzkim stanowili więźniowie nie rzucający się w oczy nikomu, spokojni, zrównoważeni, którzy starali się przetrwać te ciężkie nieludzkie warunki nic nie tracąc ze swego człowieczeństwa. Wykonywali wszystkie czynności, jakie im powierzono, w miarę dokładnie, tak by nie dać swoją pracą, swoją postawą nikomu żadnych argumentów do szykan. Opanowali sposób bycia w obozie tak, że w bloku nigdy nie można było się przyczepić do nich za wygląd ani za porządki, a w pracy zachowali zawsze przytomność umysłu, kiedy należy zwiększyć wysiłek a kiedy należy odpoczywać. Tych więźniów, zazwyczaj zgrupowanych po kilku, łączyła przyjaźń bezinteresowna, nawzajem sobie pomagali, dzielili się między sobą ostatnim kawałkiem chleba, ostatnim papierosem, w miarę możliwości służyli zawsze pomocą innym. Ta grupa była najsilniejsza moralnie i wielu z nich przetrwało. Ludzie ci prowadzili między sobą dyskusje na interesujące ich tematy, starali się zawsze oderwać myślami jak najdalej od koszmaru życia obozowego. Przeżywali bardzo, kiedy któregoś z przyjaciół wyrwano z ich grona. Wyrywano jednak stale na transport, do zewnętrznego komanda, na rozstrzelanie obok krematorium, nie oszczędzała ich również cholera i panujące epidemie, jak też nienawiść SS.

Miejsce tych, którzy odeszli zajmowali inni, bo przecież był stały napływ i znajomości się zazębiały. W takim zakonspirowanym kolektywie żyło się źle. Tak w dobrej, jak też i złej doli można było przenieść swoje odczucia i z nimi się podzielić. Taki kolektyw pomagał w chwilach zwątpienia przetrzymać depresję duchową i odzyskać równowagę psychiczną.

Inny typ więźnia to samotnicy, ludzie zamknięci w sobie, z nikim nie nawiązujący przyjaźni, wszystko co jest ich, jest dla współwięźniów niedotykalne. Jakby mieli wszystkiego jak najwięcej, powyżej własnych potrzeb, zniszczą a z nikim się nie podzielą. Posiłki spożywają ukradkiem, tak żeby nikt nie widział. Wszystko co robią, to zawsze w odosobnieniu. Każdą wolną chwilę spędzają samotnie ze swoimi myślami. O czym myślą, jak przeżywają koszmar obozu, nie dzielą się swymi odczuciami. Zamknięci w sobie tak umierają. Tacy osobnicy pewnego dnia popadali w depresję i kończyli tragicznie, szli albo na postenkietę, albo rzucali się na druty, albo załamywali się psychicznie, a co za tym szło bardzo szybko wykańczali się fizycznie, podpadali i albo zostali ubici, albo kończyli żywot w rewirze.

Więzień hiena, chcąc utrzymać się przy życiu stosuje rozbój, kradnie słabszym jedzenie i ucieka. Idzie pod okno rewiru, gdzie leżą ludzie z gorączką i za podaną miskę wody, bierze od spragnionego porcję chleba. Patrzy, czy który z konających nie ma przy sobie jedzenia, by mu wyrwać. Takie typy żyją osobno, chodzą własnymi drogami, silniejszych unikają, słabszych gotowi za porcję zupy czy kawałek chleba zamordować. Zdolni nawet do kanibalizmu byle zaspokoić żołądek. Tak ich ukształtował obóz i panujące w nim warunki. Na szczęście takich było niewielu w całej masie.

Najliczniejszą grupę stanowili, tak pospolicie zwani, muzułmanie, o pewnej, i w tej grupie, gradacji. Ta najliczniejsza grupa to ludzie wycieńczeni, oczy zapadłe, występujące kości policzkowe, twarz powleczone żółtą, pomarszczoną skórą, każda kość z kręgosłupa, żeber czy też kończyn jest wyraźnie widoczna przez skórę, całość pozbawiona mięśni, w oczach czai się strach i głód. Część jeszcze normalnie się porusza, ale każdy najmniejszy wysiłek zwala ich po prostu z nóg. Ci jeszcze myślą i odczuwają normalnie, jeszcze panują nad swoimi odruchami, zachowują swoją godność ludzką. W wolnym czasie pozbijani w gromadkę wokół bloku prowadzą ożywioną dyskusję. Temat to jedzenie. Co jedli, jak to się smaży czy gotuje, dzielą się recepturami i planują na przyszłość, co będą jedli. Problem jedzenia jest tu dominujący, zagłuszający wszelkie inne potrzeby fizyczne. Ich los będzie coraz gorszy, będą coraz bardziej opadali z sił, ruchy ich staną się powolniejsze, nie będą mogli sprawnie wstać z łóżka, ubrać się, będą unikać mycia w zimnej wodzie, a więc staną się przeszkodą w uciążliwym życiu obozowym, a nie przedmiotem współczucia.

Następni to już tylko numery statystyczne, szkielety poubierane w łachmany, jeszcze rozumiejący, co do nich się mówi, jeszcze poruszają się w tempie zwolnionym. Jest im zimno, bo już ich nic nie grzeje, ich organizm wszelkie zasoby jakie mógł z siebie wydobyć już wyczerpał. To zimno usiłują pokonać przez poruszanie rękami, tarcie pleców o plecy, wygląda to jak na zwolnionym filmie. Niektórzy z nich jeszcze szukają wokół bloku czy w śmietnikach, czy nie znajdą czegoś do zjedzenia. Ich reakcja na bodźce zewnętrzne jest przytępiona, w ich oczach gorączka głodu, oczy zachodzą mgłą. Jeszcze wyjdą na apel. Jeszcze część z nich wyjdzie do pracy po to, żeby stamtąd przynieść ich – część martwych, a część ledwo żywych. Ci co na placu apelowym zostaną, będą odeskortowani do rewiru, po drodze sztabowi i blokowi jeszcze kilku wykończą, a reszta pójdzie do rewiru umierać. Zdarzy się wypadek, że niektórzy z nich o silnym organizmie, na skutek tego, że nie pracuje, że ktoś tam w rewirze mu pomoże, wróci do jakiejś takiej formy i powróci do pracy, i potrafi przeżyć, są to wyjątki.

Taki jest przekrój zbiorowiska obozowego, które ujęte drakońską dyscypliną, razem istnieje i żyje w blokach. Nie powiedziałem jeszcze nic o tych, co jeszcze są w ewidencji bloku, ale już nie żyją, ci leżą w waschraumie. Przyniesiono ich z pracy już nieżywych, z roztrzaskanymi głowami. Część jeszcze daje oznaki życia, ale już nie podnoszą się, więc złożeni są razem, jeden na drugim, oni do rana już będą gotowi, a jeszcze przybędzie ich wieczorem, bo za znaną wesz czy brudną głowę będą wykończeni.

Część jeszcze w nocy zakończy swój żywot w łóżku. Rano będą poukładani pod blokiem do rachunku, zapisani jako zmarli. Po apelu porannym przejedzie rollwagen, powrzucają ich na stos i zawiozą do krematorium, a rodzina otrzyma zawiadomienie, że zmarli na zapalenie płuc lub atak serca.

Człowiek o wrażliwych nerwach obserwując to życie codzienne, w pierwszych dniach dostaje niemal obłądu, zdaje mu się, że to nierealne, że to jakiś koszmarny sen, który musi zniknąć. Całe jego jestestwo buntuje się przeciwko temu, jest skłonny reagować, ale przestrogi i nauka starszych więźniów wstrzymują go od tego. Jest bezsilny i nic nie zmieni. Może tylko podzielić los pozostałych.

Dzień powszedni zimą i latem rozpoczynał się o godz. 5 rano i trwał do godziny 22. Po tej godzinie w zasadzie obowiązywała nocna cisza, każdy więzień miał leżeć. Tylko służba przeciwpożarowa pełniła przy wejściu do bloku dyżur przez całą noc i nie pozwalała nikomu wychodzić z baraku.

Do wieczornego apelu trwała praca i więzień zasadniczo w tym czasie nie miał wiele wolnego czasu, by mógł się rozczulać nad swoim losem. Dopiero po kolacji dysponował pew-

ną ilością czasu dla siebie. Oczywiście, jeżeli nie miał do odrobienia karnej pracy, która wykonywana była bezpośrednio po apelu do godz. 22. Jak w tym czasie to zbiorowisko żyło? Jak ten czas był wykorzystywany?

I znowu społeczność ta, podzielona na grupy, każda w inny sposób wypełniała wolny czas. Tak zwani prominenci łączyli się po dwóch, po trzech i urządzali sobie spacer po obozie, prowadząc między sobą dyskusje. Oni nie byli przemęczeni pracą fizyczną i ten charakter wypoczynku, wykorzystania wolnej chwili, był najbardziej odpowiedni. Prominenci Niemcy, przeważnie zbrojeńcy seksualni oprowadzali się parami jak najczulsi kochankowie. Widok naprawdę groteskowy, jak taka para mizdrzyła się do siebie. [...]

Od września 1943 r. została poszerzona kantyna obozowa o część baraku, w której była kuchnia i tam wydzielono salę, w której w niektóre dni tygodnia orkiestra obozowa grywała muzykę rozrywkową i gdzie można było nabyć piwo bezalkoholowe z konsumpcją na miejscu. Było to siedlisko różnych zbrojeńców seksualnych, którzy tam urządzali sobie zabawy. To nic, że wokół walały się trupy, że cienie ludzkie żebrały o ochłap jedzenia, oni spasieni, wyżarci nie mieli upustu dla swej energii, samo zabijanie nie zaspokajało ich żądzy. Mordowali nie tylko słabszych, mordowali nawzajem siebie, ale tu już wchodziły inne motywy. Ta klika obozowa nie tylko nie myślała o zdaniu rachunku za swoje czyny, ale myślała o zabezpieczeniu sobie życia na wolności i pragnęła się wzbogacić. Toteż skrytobójczo mordowali się nawzajem dla zdobycia złota.

W 1944 r. mieli być zwolnieni z obozu dwaj Lagerältesterzy, pierwszy miał wyjść na wolność Kaiser, a następnie Karl Ebner. Jako Lagerältesterzy byli każdorazowo przy przyjmowaniu nocnych transportów przychodzących z wolności, mieli więc możliwość „zorganizowania” złota, którego też „naorganizowali”. Problem był tylko z wyniesieniem, ale ta przeszkoda była do sforsowania, trzeba było tylko współnika. Kaiser przyznał się Ebnerowi, że ma złoto, więc ten chciał od niego wycygnąć, twierdząc, że będzie miał trudności w wyniesieniu, a jak powierzy jemu, to on mu to złoto dostarczy.

Jednak Kaiser nie uwierzył w to i złota mu nie przekazał. Karl Ebner postanowił więc to złoto siłą odebrać. Ponieważ sam nie mógł tego zrobić, zorganizował szajkę w składzie Emil Radke, Bruno Reis, Hary Hintz, czwartego nazwiska nie pamiętam. On sam zwabił Kaisera do baraku Siemens'a i tam tępym narzędziem wszyscy go zamordowali. Dla usunięcia śladów zbrodni mieli zamiar spalić trupa w krematorium, lecz pech chciał, że w tę noc krematorium było w konserwacji i nie było czynne. Obciążyli więc trupa kostkami granitowymi i wrzucili do basenu. Ponieważ obciążenie nie było dobrze wykonane, do rana trup wypłynął. Winę za



to morderstwo przerzucono na Polaków, w szczególnym podejrzeniu był blok 5, gdzie byli sami Polacy i blok był usytuowany obok basenu. Cały blok postawiono na zbiórkę, polecono rozebrać się wszystkim do naga i każdego oddzielnie oglądano, czy nie ma jakichś świeżych śladów zadrapań, czy też nie jest pokrwawiony.

Przeżyłem wtedy wielki strach, ponieważ w tym czasie byłem objęty leczeniem oczu i miałem zapuszczane codziennie oczy płynem, który na bieliźnie zostawiał ślady jak po krwi. Tym płynem miałem poplamioną koszulę, ale tego w czasie sprawdzania nie zauważyli, w przeciwnym wypadku miałbym trudności w wytłumaczeniu się, a mógłbym i nie zdążyć. Po tym wypadku w obozie rozpoczęła się orgia. Niemcy powiedzieli, że już Polacy zaczynają mordować Niemców, więc trzeba wszystkich Polaków wykończyć. Tego dnia na apel południowy przyniesiono z pracy ponad 100 zabitych. Do wieczora, dzięki Polakom pracującym u Siemensa, sprawców wykryto. Pierwszy przyznał się Emil Radke, blokowy z bloku niemieckiego nr 12. Na noc wszyscy zbrodniarze byli już w bloku 19 u Vogla. Ponieważ Kaiser był zasłużony dla SS, ze względu na swoje postępowanie w obozie, sprawa tych pięciu została skierowana do Centrali w Berlinie. Mimo że Vogel to był ich kumpel od mordowania, to jednak więźniowie ci przez cały czas pobytu u niego byli skuci łańcuchami i tak samo znęcał się nad nimi, jak i nad pozostałymi. Do nadejścia wyroku z Berlina wykończył Lagerältestera Ebnera, pozostali za kilka dni zawiśli na szubienicy. Zajęciem ich był mord, taką śmiercią i oni zginęli.

Następne grupki, to przyjaciele w rozszerzonym gronie, opowiadający sobie swoje przeżycia, wracający do lat szkolnych, wojska, pracy, wspominali bliskich, roztrząsali politykę światową, przybliżali klęskę Niemiec, co im pozwalało przetrwać. Nie załamywali się i mówili, że następne święta już będą w domu. Utrzymywali kontakty z innymi blokami, byli o wszystkim zawsze dobrze poinformowani, tworzyli przyszłą wizję porządku europejskiego. Niektórzy planowali co będą po wojnie robić, jakie przedsiębiorstwa zakładać, co będzie opłacalne. Antek z Kutna miał ze mną zająć się importem i eksportem zboża na kontynencie europejskim i na rynkach Afryki. Leżał na szonungbloku kilka miesięcy i tak sobie biedak marzył.

Najlicniejsza grupa najsłabszych fizycznie szła w teren obozu poszukiwać znajomych i w jakiś sposób zorganizować coś do zjedzenia. Snuli się jak te cienie po obozie, od bloku do bloku, przeganiani przez blokowych, rzucali się na niedopałek papierosa zostawiony przez jakiegoś prominenta i walczyli o pierwszeństwo. To dno nędzy, godność osobista była nie do zachowania. Znam ten stan, bo byłem już bliski niego. Przeniesienie mnie na blok 5

i pomoc nieodżałowanego kolegi Czesława Marszałkiewicza, nr 748, pozwoliło mi przyjść do siebie. Blok 5 był blokiem, gdzie mieściło się centrum polskości. Tu najwcześniej rozpoczęto pracę, którą można nazwać słowami Sienkiewicza „dla pokrzepienia serc ludzkich”. W niedzielne popołudnie organizowano pogadanki kulturalne, recytowano wiersze, opowiadano gadki góralskie, rozweselające w tym trudnym okresie. W bloku tym urządzano koncerty, śpiewając piosenki po polsku. Inżynier Kazimierz Szostak, profesor Andrzej Waksmundzki byli pionierami, którzy zapoczątkowali życie kulturalne w obozie. Do bloku 5 przychodzili z całego obozu Polacy, by zaśpiewać piosenkę po polsku – śpiewał Karol Dembowski „Barona cygańskiego”, śpiewał Wojciech Dzieduszycki ze Lwowa, recytował Kruk-Rostański, tu wszyscy prawie aktorzy, muzycy i śpiewacy dawali swoje pierwsze występy. Organizowanie takich niedzielnych popołudni rozszerzyło się na większość bloków, gdzie przebywali Polacy. Więźniowie artyści dawali wybitny wkład w zachowanie człowieczeństwa w tym piekle hitlerowskim. Śpiewano piosenki żołnierskie, partyzanckie, przywiezione przez powstańców Warszawy. Podczas takich wieczorków niejednemu stanęła łza w oku, przeniósł się myślami na wolność, do swoich bliskich. Była to dla niejednego uczta duchowa, ratująca od zwątpienia po całotygodniowym słuchaniu najwulgarniejszych wymyślań.

Co drugą niedzielę było pisanie listów, a więc w tym dniu każdy musiał napisać list według schematu, że jest zdrow i powodzi mu się dobrze. W dniu tym wszyscy, którzy umieli pisać po niemiecku byli obłożeni, bo każdy chciał rodzinie dać znać, że jeszcze żyje. Szczególnie obłożony był młody więzień Mieczysław Mołdawa, znany wszystkim ze swej uczynności dla każdego, zawsze pisał rekordową liczbę listów, ponieważ najwięcej do niego się garnęli. Listy okolicznościowe, jak na święta czy też imieniny bliskich, ozdabiał niejednokrotnie rysunkiem okolicznościowym. Było to poświęcenie z jego strony, bo taki malunek musiał robić w swoim wolnym czasie.

Niedziela miała i inne rozrywki. Początkowo Niemcy, dla reprezentowania swej tężyzny fizycznej, organizowali występy bokserskie. Zbudowali ring i w niedzielę zawsze ten ring był przenoszony na plac apelowy, gdzie odbywały się zawody. Początkowo na ringu występowali sami Niemcy, którzy przygotowywali się na bloku 16, gdzie odbywali treningi. Następnie poprosili Polaków, żeby wykazać swoją wyższość nad nami. To im się nie udało. Występujący Schali miał za partnera Martynowskiego, który już w drugiej rundzie rozłożył go na deski, że więcej już nie chciał się boksować. Podobnie mały Jurek Kowalewski każdą walką z Niemcami wygrywał. Kiedy się przekonali, że nie mogą zaimponować Polakom na platformie sportowej, bo dostawali bicie, przestali uprawiać sport, woleli mordować słabszych.

Największą jednak rozrywką, gdzie były rozładowywane uczucia narodowe, to była piłka nożna. W drugiej połowie 1943 r. sport piłkarski był największą imprezą w obozie. Polacy w tej dyscyplinie wiodli prym. Polacy stworzyli trzy drużyny, a także była drużyna reprezentacyjna, której kapitanem był Zdzisław Lewandowski, a bramkarzem Kazek Jurowicz, pozostali to: Władysław Kidacki, Zygmunt Stolarski, Ryszard Łysakowski, Giedrowicz, Kazimierz Burchacki, Hebner, Zbyszewski, Koszałek, Aleks Książkiewicz i Jurek Kowalewski. Członkowie tej drużyny byli znani w całym obozie, ponieważ w czasie rozgrywek z drużyną niemiecką, sympatia wszystkich narodowości, poza Niemcami, była po ich stronie. Każdy ich dopingował, przeżywał popełniane faule na polskich graczach. Na mecze Polska – Niemcy, gdzie Polacy występowali w biało-czerwonych strojach, przychodzili SS-mani, a nawet Lagerführer Ernstberger.

Niemcy posiadali przewagę fizyczną, ich gracze to wyżarte i niespracowane zbóje. Trzeba mieć odwagę, żeby z nimi grać. Naszych graczy cechowała ambicja i wola wygrania, i tak też zazwyczaj bywało. Drużyny sportowe posiadały i inne narodowości, lecz w rozgrywkach liczyła się tylko drużyna polska i niemiecka. Pozostałe polskie drużyny rozgrywały mecze z drużynami innych narodowości.

Z czasem pozostały tylko dwie drużyny – polska i niemiecka. Po zabudowaniu starego placu apelowego, na którym postawiono barak dla komanda pod kryptonimem „Wetterstelle” i ogrodzono go płotem kolczastym, ażeby nikt z pozostałej części obozu nie skontaktował się z pracującymi w tym komandzie, sport piłki nożnej się zakończył. Niemcy skracali front, coraz bardziej ich klęska już była widoczna.

Od czerwca 1944 r. z Generalnego Gubernatorstwa nie nadchodziły listy ani paczki. Sytuacja w obozie uległa poważnemu pogorszeniu, zaczął panować głód, jak w roku 1942. Niemniej jednak nadzieja zakończenia wojny i naszego wyzwolenia była już realna.

Toteż, mimo panującego głodu, atmosfera wśród więźniów była o wiele lepsza niż w poprzednich latach. Następową konsolidacją więźniów poszczególnych narodowości. Organizowano nawet wspólne imprezy kulturalne. Wielkim wydarzeniem była, zorganizowana z inicjatywy kolegi Mieczysława Mołdawy, szopka świąteczna w okresie świąt Bożego Narodzenia w 1944 r. Każdy uczestnik wychodził z tej imprezy ze łzami w oczach, ponieważ program szopki oparty na motywach „Wesela” Wyspiańskiego, jak też dekoracje i reżyseria wywarły na każdym olbrzymie wrażenie, a również umocniły pewność zwycięstwa.

W poszczególnych blokach, oprócz działalności kulturalnej typu rozrywkowo-patriotycznego, prowadzona była również działalność naukowa i dydaktyczna.

W bloku 5 wykłady prowadzili: profesor Waksmundzki, z zakresu chemii i rolnictwa, inżynier Kazimierz Szostak, inżynier Jan Szymański i wielu innych. Wykłady te odbywały się przeważnie w sypialni po kolacji i trwały nieraz długo w noc.

W grudniu i styczniu 1945 do obozu w Gross-Rosen zaczęły napływać masowo transporty ewakuacyjne z innych obozów i z komand zewnętrznych. Transporty napływały codziennie, w dzień i nocami. Przychodzili wynędzniali, wygłodzeni; grupy nieliczne po kilkadziesiąt osób, a wychodziło ich setki z obozów. W ciężkich warunkach zimowych, bez zabezpieczenia żywności i odzieży robili setki kilometrów pieszo i swymi ciałami znaczyli szlak ewakuacyjny.

Z komanda w Szczakowej wyszło 600 ludzi do obozu w Gross-Rosen, doszło 78, reszta zginęła w drodze. Napływ tych transportów spowodował dezorganizację w obozie. Dotychczasowy niemiecki ordnung wziął w łeb. Powstał bałagan, w blokach przeznaczonych dla 600 ludzi, umieszczano po dwa i więcej tysięcy.

W tak zwanym obozie oświęcimskim ludzie nie mieli gdzie spać, spali na zmianę. Kuchnia, pracująca bez przerwy dzień i noc, nie była w stanie ugotować dla wszystkich. Posiłki wydawane były raz na dobę, o różnych porach dnia i nocy. Brukiew gotowana bez soli, trudno było ją zjeść. Spanie niemożliwe, po trzy osoby na łóżku.

Jedne transporty przychodziły, drugie odchodziły. Wśród więźniów zmienne nastroje, powód do radości, bo Trzecią Rzeszę diabli biorą, a więc zbliża się koniec naszej męki, z drugiej jednak strony nie wiadomo, co będą chcieli z nami przed końcem zrobić.

Ewakuacja na piechotę w głąb Niemiec, mieliśmy tego obrazy, wiedziałem czemu się to równa. A może masowe morderstwo jak w Lubelskim Zamku, a może jeszcze inny środek masowej zagłady. Jednak komanda jeszcze wychodziły do pracy, jeszcze budowaliśmy. Wyjeżdżali w dalsze transporty tylko ci, co przybyli. Tak było do końca stycznia.

W lutym 1945 r. komanda nie wychodziły już do pracy. Rozpoczęła się ewakuacja obozu, około 30 tysięcy ludzi. Codziennie po kilka tysięcy szło na stację Gross-Rosen. Kto nie mógł iść był dobijany strzałem w tył głowy. W dniu 11 lutego 1945 organizują ostatni transport, ponad 4 tysiące ludzi, szły już resztki z obozu, pozostał tylko rewir z chorymi oraz Niemcy wyznaczeni do zniszczenia obozu. Rano zebrano wszystkich na placu apelowym i tu poustawiano kolumnami po pięciu, tu już nie ustawiono ani komandami, ani blokami. Każdemu wydano po jednym chlebie oraz po jednej konserwie wołowej. Ustawiono po 200 osób

i zaprowadzono na stację kolejową do Gross-Rosen. Po drodze bardzo dużo upadło, bo nie mogli iść, więc takich wyciągano z kolumny i strzelano.

W transporcie tym byłem również ja, byli koledzy Franciszek Gabryś, Fedorowski, Stefan Baran, Józef Biesiadecki, Gienek Kuziora, Wojciech Szymański i wielu, wielu znajomych. Na stacji wagonów nie było, czekaliśmy więc do zmroku, a kiedy zaczęło się ściemniać, uformowano kolumnę i przyprawdzono z powrotem do obozu. Było już ciemno, obóz nie był oświetlony, ponieważ obawiano się nalotów, linia frontu już była niedaleko, słysząc było w obozie strzały artyleryjskie. Kolumnę tę rozdzielono na poszczególne bloki, po kilkaset osób, celem przenocowania, zabraniając komukolwiek opuścić w nocy blok, pod groźbą zastrzelenia każdego jednego. W czasie powrotu do obozu i w samym obozie zostaliśmy ostrzeleni z broni pokładowej samolotów, na szczęście samoloty te niecelnie były i uniknęliśmy masowej siekaniny. Obok naszego bloku spadły tylko łuski z działek samolotowych. W nocy, a również i poprzedniego dnia większość z tych, którzy otrzymali chleb i konserwę jako trzydniowe zaopatrzenie, zjadła wszystko.

Na drugi dzień rano ponownie ustawiono nas w kolumnę i wyprowadzono do stacji w Gross-Rosen. Tam czekały na nas wagony-węglarki. Do każdego takiego wagonu ładowano od 160 do 200 więźniów. Załadowano nas w ten sposób, że pierwszy rząd od ściany usiadł jeden koło drugiego ciasno, a następny rząd siadał między nogami poprzedniego itd. Załadowani w ten sposób nie mieliśmy możliwości ani się poruszyć. Wstawać nie było wolno, ponieważ strażnicy ustawieni na zewnątrz wagonów mieli rozkaz strzelać do każdego, kto wychyli głowę. Do każdego wagonu przydzielono konwój z 6 esesmanów wyposażonych w pistolety maszynowe. Konwój ten zajął środkową część wagonu, z odpowiednią wolną przestrzenią, której nie wolno było przekroczyć.